



# TYGODNIK ILLUSTROWANY



№ 140

Prenumerata w Warszawie:  
Rocznie rsr. 8, półrocznie rsr. 4, kwartalnie rsr. 2  
miesięcznie kop. 67 i pół.

Warszawa, 31 maja 1862 r.

Prenumerata na prowincyi i w Cesarstwie:  
Rocznie rsr. 12, półrocznie rsr. 6, kwartalnie rsr. 3.  
Koperta oddzielna 2 rsr. rocznie.

TOM V.

## TREŚĆ NUMERU.

Jędrzej Radwański (z drzeworytu). — Kronika tygodniowa. — Pomnik biskupa Soltyka w Sławkowie (z drzeworytu). — Dom Mickiewicza i wieś Tuhanowicz (z dwoma drzeworytami). — Michał Sędziwój (dokończenie). — Żegnaj (poezja). — Korrespondencya od redakcyi. — Wystawa obrazów Towarzystwa sztuk pięknych w Krakowie. — Ratusz w Szydłowcu (z drzeworytu). — Rebus.

### Jędrzej Radwański.

W rzędzie wychowawców b. szkoły głównej(\*) warszawskiej, którzy swymi pracami zaszczyt jej przynieśli, niepospolite miejsce zajmuje ś. p. profesor Jędrzej Radwański Dlatego niesłusznym się zdaje, że człowiek co pracował całe życie dla sprawy oświaty narodowej i u dalszych zyskał chlubne uznanie, nie znalazł dotąd u nas kilku wyrazów na uczczenie swęj pamięci. A jednakże bliżsi lepiej ocenić mogą mozolne jego zasługi, zwłaszcza zważywszy że nawet pomimo ciężkiej niemocy, bo odjęcia władzy w połowie ciała, przez lat kilkanaście oddawał się najmozolniejszym badaniom, których owoce w części już oceniła publiczność, a w części jeszcze znajdują się w ukryciu. Nie stawały na zawadzie silnemu umysłowi przeszkody fizyczne; wprawiając się w pisanie lewą ręką otówkiem, wszystkie z owego czasu prace tym sposobem dokonał, a są one jednak obszernych rozmiarów, jak to później wykażemy

Przyczyny spóźnionego oddania sprawiedliwości zasługom ś. p. Radwańskiego, nie należy szukać w obojętności jego kolegów, lecz raczej w trudności pisania takich życiorysów, któreby z czasem równie posłużyć mogły za materiał dziejowy do piśmiennictwa krajowego, jak i dawały poznać szczegółowe okoliczności życia człowieka na pamięć zasługującego. Wreszcie opóźnienie to ma i swoje korzyści: czas i całun śmierci łagodzą i jedynają ludzi, którzy wtedy skłonniejsi są do oddania sprawiedliwości drugim, chcąc aby z czasem i im była wymierzona.

Jędrzej Radwański urodził się w r. 1800 we wsi Tyńcu, sławnej klasztorom opactwa benedyktyńców przez Bolesława Wielkiego założonym. Oddany przez rodziców do b. szkoły wojewódzkiej w Kielcach, po jej ukończeniu w r. 1821 i uzyskaniu świadectwa dojrzałości, jako pragnący poświęcić się zawodowi nauczycielskiemu, przeznaczony został na pomocnika naukowego, czyli tak zwanego wówczas kollaboratora, do b. szkoły wojewódzkiej kaliskiej, które to obowiązki przez lat dwa sprawował. Następnie, w celu dalszego kształcenia się w obranym zawodzie,

w roku 1823 wszedł w poczet uczniów b. uniwersytetu warszawskiego, na wydział filozoficzny, oddział nauk przyrodzonych, który przy pobieraniu wsparcia rządowego w r. 1826 ukończył, uzyskawszy po zdaniu całkowitego publicznego egzaminu stopień magistra filozofii. W tymże samym roku przeznaczony został na nauczyciela b. szkoły wojewódzkiej w Kielcach, a po dwóch latach, to jest w r. 1828, miano-

warszawskiej rabinów, obok tego w r. 1833 został nauczycielem przy jednej ze szkół obwodowych warszawskich, z kąd następnie w r. 1834 przeniesiony do b. gimnazjum wojewódzkiego warszawskiego, w r. 1836 uzyskał tam posadę profesora nauk przyrodzonych.

Gdy w r. 1835 utworzono w Warszawie komitet egzaminacyjny do oceniania kwalifikacyi kandydatów ubiegających się o posady nauczycielskie w szkołach publicznych; profesor Radwański wezwany został na jego członka stałego i obowiązki te pełnił wspólnie z powyższemi.

W r. 1836, gdy ustanowiono przy gimnazjum wojewódzkim warszawskim *Kursa dodatkowe*, w których wykładano dla młodzieży wychodzącej z gimnazyów wyższe przedmioty z nauk ścisłych, Radwański, powołany do kursów tych na profesora fizyki, nie zważając na mniejsze korzyści materialne, aby lepiej odpowiedzieć nowemu powołaniu, opuścił miejsce w szkole rabinów. Obowiązki nauczyciela w kursach dodatkowych sprawował aż do r. 1842, w którym, z powodu zwinięcia kursów, z chlubnym podziękowaniem władzy od ich pełnienia uwolniony został. Pozostały mu nateraz jedynie obowiązki profesora nauk przyrodzonych przy gimnazjum warszawskim, którym poświęcał się gorliwie do dnia 18 listopada 1842 r. W tym czasie, rażony paralizem, skończył swój zawód nauczycielski.

Ale nie był to koniec jego zawodu naukowego, i tu dopiero, wśród ciężkiej niemocy wynikłej z bezwładności całej prawej części ciała, przy pewnym nawet osłabieniu władz umysłu, z kąd wynikała potrzeba dłuższego zastanawiania się dla objęcia przedmiotu, — okazał Radwański ze mocą duszy i żelazną wolą iść można w zapasy z kalécstwem i być pożytecznym towarzystwu. Znaczna liczba jego prac literackich, i to prac najmozolniejszych, odnosi się do tego smutnego osmnasto-letniego okresu jego żywota.

Podług tego więc prace Radwańskiego w dziedzinie piśmienniczej na dwie części podzielić się dają: na uskuteczone przy zupełnym zdrowiu i na wykonane w czasie ciężkiej już choroby.

Zacznamy od pierwszych.

1. W roku 1829 i 1830 był redaktorem pisma technologicznego *Piast*, którego ostatnie 18 tomów są jego wydania. Ze tego rodzaju pismo, właściwym sposobem układane, odpowiadało ówczesnym wymaganiom, dowodziła liczba przedpłacicieli do 1000 wynosząca.
2. W roku 1837 wydał dzieło obszerne, pod napi-



JĘDRZEJ RADWAŃSKI. (Rysował z fotografii Polkowski).

wany był adiunktem przy gabinecie fizycznym b. warszawskiego uniwersytetu, które to obowiązki aż do zwinięcia tegoż zakładu sprawował. Jednocześnie także z powyższemi, od r. 1828 pełnił obowiązki korepetytora nauk przyrodzonych w szkole przygotowawczej do instytutu politechnicznego.

W roku 1831 powołany na nauczyciela w szkole

(\*) Używam niekiedy wyrazu szkoła główna, zamiast uniwersytet czyli wszechnica, bo według mnie jest zupełnie duchowi rzeczy odpowiedni. Wreszcie orzeczenie to używane już było w dziełach naszych pisarzy, jak n. p. J. U. Niemcewicz. (Podróże po ziemiach polskich). (Przyp. autora).



o zwykłą jedynie grzeczność posądzać nie można, już przy powyższych danych należną część pracy Radwańskiego oddać wypada, a zapewne po jej w czasie ogłoszeniu, uznanie ogólne znawców język narodowy miłujących, zdania dawniejsze potwierdzi.\*

Dotąd wymieniliśmy prace nadobowiązkowe s. p. Radwańskiego, które lub znane są, lub będą po swoim ogłoszeniu. Ale w życiu każdego człowieka czynu znajdują się i takie, które, lubo niemniej mozolne i właściwej nauki potrzebujące, żadnego nie mają rozgłosu, a jednak sprawiedliwie do zasług jego policzone być powinny. Do zatrudnień takich powoływany był często i professor Radwański.

W r. 1830 kierował jako dyrektor jedną z saletrarni publicznych w Warszawie. W r. 1832, po śmierci profesora fizyki b. uniwersytetu warszawskiego Skrodzkiego, użyty był do sprawdzania obszernego gabinetu fizycznego po-uniwersyteckiego. Praca ta w porze zimowej, w wielkiej sali napełnionej metalami, sześć tygodni trwająca, nabawiła go choroby, której skutki później się objawiły. W tymże roku wezwany był jako znawca do oceniania machin i narzędzi naukowych, na publiczną wystawę przemysłową warszawską dostawianych.

Kiedy wynalazek Daguerra zwrócił na siebie całego świata uwagę, w widoku umiejętności przedsięwziął Radwański doświadczenia, wprzód nim je sam wynalazca drukiem ogłosił. A ponieważ doniesienia dziennikarskie były i niepełne, i nawet w głównych punktach mylnie, musiał zatem rozliczne wykonywać próby, częstokroć z narażeniem zdrowia, aby przyjsć do opisywanego wypadku. Miał jednak tę pociechę, że pierwszy u nas swój obraz heliograficzny wystawił na widok publiczny w salach Towarzystwa Dobroczynności w Warszawie.

Z polecenia kuratora, wykonywał także roboty galwaniczno-plastyczne na znaczną stopę. Doświadczenia te, łatwe na małą skalę, w początkach przedstawiały znakomite trudności na większą. Wiele przeto prób wykonać trzeba było, ażeby trafić na właściwą drogę.

Pomijamy drobniejsze prace nadobowiązkowe, bo te właściwie są ludziami każdego zawodu publicznego; wspomnieliśmy tylko o takich, które pospolicie się nie wykonywają, bo do nich i przeciąg długi czasu, i zapas szczegółowych wiadomości jest potrzebny. Skończywszy opis życia publicznego zasłużonego profesora, niech nam będzie wolno chwilę się zatrzymać i nad jego życiem prywatnym. Człowiek ten nieposzlakowanej uczciwości i prawości, z przyrody prędki, ale wielkiego hartu duszy, był jednak wyrozumiały, gdy nie widział złej woli lub złych chęci. Znał i miłośnik mowy ojczystej, oddawał się częstokroć mozolnym nad językiem badaniom; ztąd wywiązywała się drażliwość właściwa ludziom gorliwie umysłowo pracującym. Czuly na nieszczerstwa drugich, wspierał nędkę prawdziwą, na dowód czego przytoczymy tu jeden przykład, dobrze nam wiadomy.

Jeszcze będąc zdrowym, choć sam wiele nie posiadał, udzielał każdomiesięczne wsparcie biednemu paralitykowi, którego spotkał przypadkowo na ulicy. Następnie sam sparaliżowany, posiadając zaledwo tyle, ile potrzeba było do opędzenia najskromniejszych potrzeb, dawał mu je, lubo w mniejszym stosunku, a ten grosz wdowi wymowniej świadczy o jego sercu, niż obfita jałmużna przez bogatych rozdzielana. Ciężką dotknięty niemocą, znosił ją z religijnym podaniem się przez lat kilkanaście, znajdując osłodę w najmozolniejszym zatrudnieniu naukowym, aż do chwili swego zgonu, który nastąpił w dniu 20 maja 1860 r.

1. W r. 1830 pierwszy Radwański podał myśl do napisania dzieła, któreby obejmowało treść nauk przyrodzonych, w sposobie jaknajprzystępniejszym wyłożoną. On napisał myśli, podług których możnaby cel powyższy do skutku doprowadzić, on porozumiał się z innymi współpracownikami, zgoda jemu głównie należy się zasługa, jeżeli korzyść jaka osiągnięta została z książki która wyszła pod napisem: „Treść nauki przyrodzenia, czyli wiadomości do ogólnego oświecenia potrzebne, z nauki o zwierzętach czyli zoologii; o roślinach czyli botaniki; o ciałach kopalnych czyli mineralogii; o istotach nieważkich czyli fizyki; o składzie ciał czyli chemii; o gwiazdach czyli astronomii; z trzema tablicami i sześcioma wśród dzieła rycinami“. Warszawa, w drukarni Stanisława Strąbskiego 1850 r. W dziele tém wiadomości z fizyki i astronomii są pióra Radwańskiego.

2. „Myśli o sposobie urządzenia szkół ogólnych wyższych“. Poznań, nakładem N. Kamińskiego i spółki, r. 1851, str. 58. Rozprawa ta, nader ważna, odsłaniająca w pisarzu znakomitego i wytrawnego pedagoga, przy urzędowaniu oświecenia publicznego ważne może nasunąć myśli.

3. „Jakie są siły zmysłowe i zdolności umysłowe, tudzież skłonności serca Niemców i Polaków, same języki tych narodów świadczą“. Poznań, nakładem N. Kamińskiego i spółki, r. 1851, str. 37.

4. „Geografia ogólna, ze szczególnym względem na Słowiańszczyznę, a osobliwie na Polskę, w krótkości wyłożona przez Stanisława Zawadzkiego“ (pseudonym). Poznań, nakładem Kamińskiego i spółki, r. 1852. Przedmowy do początków geografii ogólnej str. 8, tekstu wraz ze spisem alfabetycznym przedmiotów str. 300.\*

5. Największą z prac do tego okresu życia Radwańskiego odnoszących się, jest pozostałe w rękopisie wykończone dzieło do 300 arkuszy obejmujące, które, jak to widać z przedmowy (tom I str. 12) do Słownika języka polskiego Samuela Bogumiła Lindego, wydane w Lwowie r. 1854, obejmuje: „Słownik mowy potocznej cudzoziemsko-polskiej, na wzór słownika Heysego wydane w Hanowerze.“ Rękopis ten wykończony, przekazany przez zmarłego zakładowi Ossolińskich we Lwowie, wkrótce dojdzie swego przeznaczenia.

Przeglądając starannie papiery pozostałe po profesorze Radwańskim, przekonał się że zawiadomienia o tej pracy wraz z wyimkami posłał niektórym mistrzom nauki, a listy Joachima Lelewela, Augusta Bielowskiego, Karola Libelta, profesora Martynowskiego, profesora Fryderyka Kazmirza Skobla i t. p. nietylko jaknajwiększą oddają jej pochwałę, lecz prawie z uwielbieniem o niej się wyrażają. Jedno nawet chlubne świadectwo ważności prac tego rodzaju Radwańskiego, wydrukowane zostało w dziele pod napisem: „Wykład terapii fizjologicznej“ przez dra Skobla. Kraków, r. 1855, w przedmowie str. 22. W chec tak poważnych świadectw których

Mnóstwo osób rozjeżdża się na wieś i na letnie mieszkania.

Wiozą skrzynki, skrzyneczki, paczki i paczeczki. Już to we wszystkich tych przyborach kufranych i toaletowych celuje mianowicie pleć piękna. Bo mężczyźni, choćby na koniec świata jechać przyszło, mały kuferczyna i byle jakie nakrycie od nieprzewidzianych zmian pogody wystarczy. Ale kobiety!... Każda z nich zabiera miejsca za nas kilku, i tyle im potrzeba różnych rozmaiłości, że dla nich kilkomilowa nawet podróż, jest tylko pakowaniem się i rozpakowywaniem.

(\*) Nie znamy rękopisu w mowie będącego, nie możemy więc dawać o nim zdania; wnosząc jednak z tytułu, mniemamy że nie należy sobie przesadzać jego ważności. Nie pojmujemy także w pracy czysto słownikarskiej, zasięgania opinii takich uczonych jak Lelewel, Bielowski, Liebelt i t. p.

(Przyp. autora.)

(Przyp. redak.)

o zwykłą jedynie grzeczność posądzać nie można, już przy powyższych danych należną część pracy Radwańskiego oddać wypada, a zapewne po jej w czasie ogłoszeniu, uznanie ogólne znawców język narodowy miłujących, zdania dawniejsze potwierdzi.\*

Dotąd wymieniliśmy prace nadobowiązkowe s. p. Radwańskiego, które lub znane są, lub będą po swoim ogłoszeniu. Ale w życiu każdego człowieka czynu znajdują się i takie, które, lubo niemniej mozolne i właściwej nauki potrzebujące, żadnego nie mają rozgłosu, a jednak sprawiedliwie do zasług jego policzone być powinny. Do zatrudnień takich powoływany był często i professor Radwański.

W r. 1830 kierował jako dyrektor jedną z saletrarni publicznych w Warszawie. W r. 1832, po śmierci profesora fizyki b. uniwersytetu warszawskiego Skrodzkiego, użyty był do sprawdzania obszernego gabinetu fizycznego po-uniwersyteckiego. Praca ta w porze zimowej, w wielkiej sali napełnionej metalami, sześć tygodni trwająca, nabawiła go choroby, której skutki później się objawiły. W tymże roku wezwany był jako znawca do oceniania machin i narzędzi naukowych, na publiczną wystawę przemysłową warszawską dostawianych.

Kiedy wynalazek Daguerra zwrócił na siebie całego świata uwagę, w widoku umiejętności przedsięwziął Radwański doświadczenia, wprzód nim je sam wynalazca drukiem ogłosił. A ponieważ doniesienia dziennikarskie były i niepełne, i nawet w głównych punktach mylnie, musiał zatem rozliczne wykonywać próby, częstokroć z narażeniem zdrowia, aby przyjsć do opisywanego wypadku. Miał jednak tę pociechę, że pierwszy u nas swój obraz heliograficzny wystawił na widok publiczny w salach Towarzystwa Dobroczynności w Warszawie.

Z polecenia kuratora, wykonywał także roboty galwaniczno-plastyczne na znaczną stopę. Doświadczenia te, łatwe na małą skalę, w początkach przedstawiały znakomite trudności na większą. Wiele przeto prób wykonać trzeba było, ażeby trafić na właściwą drogę.

Pomijamy drobniejsze prace nadobowiązkowe, bo te właściwie są ludziami każdego zawodu publicznego; wspomnieliśmy tylko o takich, które pospolicie się nie wykonywają, bo do nich i przeciąg długi czasu, i zapas szczegółowych wiadomości jest potrzebny. Skończywszy opis życia publicznego zasłużonego profesora, niech nam będzie wolno chwilę się zatrzymać i nad jego życiem prywatnym. Człowiek ten nieposzlakowanej uczciwości i prawości, z przyrody prędki, ale wielkiego hartu duszy, był jednak wyrozumiały, gdy nie widział złej woli lub złych chęci. Znał i miłośnik mowy ojczystej, oddawał się częstokroć mozolnym nad językiem badaniom; ztąd wywiązywała się drażliwość właściwa ludziom gorliwie umysłowo pracującym. Czuly na nieszczerstwa drugich, wspierał nędkę prawdziwą, na dowód czego przytoczymy tu jeden przykład, dobrze nam wiadomy.

Jeszcze będąc zdrowym, choć sam wiele nie posiadał, udzielał każdomiesięczne wsparcie biednemu paralitykowi, którego spotkał przypadkowo na ulicy. Następnie sam sparaliżowany, posiadając zaledwo tyle, ile potrzeba było do opędzenia najskromniejszych potrzeb, dawał mu je, lubo w mniejszym stosunku, a ten grosz wdowi wymowniej świadczy o jego sercu, niż obfita jałmużna przez bogatych rozdzielana. Ciężką dotknięty niemocą, znosił ją z religijnym podaniem się przez lat kilkanaście, znajdując osłodę w najmozolniejszym zatrudnieniu naukowym, aż do chwili swego zgonu, który nastąpił w dniu 20 maja 1860 r.

1. W r. 1830 pierwszy Radwański podał myśl do napisania dzieła, któreby obejmowało treść nauk przyrodzonych, w sposobie jaknajprzystępniejszym wyłożoną. On napisał myśli, podług których możnaby cel powyższy do skutku doprowadzić, on porozumiał się z innymi współpracownikami, zgoda jemu głównie należy się zasługa, jeżeli korzyść jaka osiągnięta została z książki która wyszła pod napisem: „Treść nauki przyrodzenia, czyli wiadomości do ogólnego oświecenia potrzebne, z nauki o zwierzętach czyli zoologii; o roślinach czyli botaniki; o ciałach kopalnych czyli mineralogii; o istotach nieważkich czyli fizyki; o składzie ciał czyli chemii; o gwiazdach czyli astronomii; z trzema tablicami i sześcioma wśród dzieła rycinami“. Warszawa, w drukarni Stanisława Strąbskiego 1850 r. W dziele tém wiadomości z fizyki i astronomii są pióra Radwańskiego.

2. „Myśli o sposobie urządzenia szkół ogólnych wyższych“. Poznań, nakładem N. Kamińskiego i spółki, r. 1851, str. 58. Rozprawa ta, nader ważna, odsłaniająca w pisarzu znakomitego i wytrawnego pedagoga, przy urzędowaniu oświecenia publicznego ważne może nasunąć myśli.

3. „Jakie są siły zmysłowe i zdolności umysłowe, tudzież skłonności serca Niemców i Polaków, same języki tych narodów świadczą“. Poznań, nakładem N. Kamińskiego i spółki, r. 1851, str. 37.

4. „Geografia ogólna, ze szczególnym względem na Słowiańszczyznę, a osobliwie na Polskę, w krótkości wyłożona przez Stanisława Zawadzkiego“ (pseudonym). Poznań, nakładem Kamińskiego i spółki, r. 1852. Przedmowy do początków geografii ogólnej str. 8, tekstu wraz ze spisem alfabetycznym przedmiotów str. 300.\*

5. Największą z prac do tego okresu życia Radwańskiego odnoszących się, jest pozostałe w rękopisie wykończone dzieło do 300 arkuszy obejmujące, które, jak to widać z przedmowy (tom I str. 12) do Słownika języka polskiego Samuela Bogumiła Lindego, wydane w Lwowie r. 1854, obejmuje: „Słownik mowy potocznej cudzoziemsko-polskiej, na wzór słownika Heysego wydane w Hanowerze.“ Rękopis ten wykończony, przekazany przez zmarłego zakładowi Ossolińskich we Lwowie, wkrótce dojdzie swego przeznaczenia.

Przeglądając starannie papiery pozostałe po profesorze Radwańskim, przekonał się że zawiadomienia o tej pracy wraz z wyimkami posłał niektórym mistrzom nauki, a listy Joachima Lelewela, Augusta Bielowskiego, Karola Libelta, profesora Martynowskiego, profesora Fryderyka Kazmirza Skobla i t. p. nietylko jaknajwiększą oddają jej pochwałę, lecz prawie z uwielbieniem o niej się wyrażają. Jedno nawet chlubne świadectwo ważności prac tego rodzaju Radwańskiego, wydrukowane zostało w dziele pod napisem: „Wykład terapii fizjologicznej“ przez dra Skobla. Kraków, r. 1855, w przedmowie str. 22. W chec tak poważnych świadectw których

Mnóstwo osób rozjeżdża się na wieś i na letnie mieszkania.

Wiozą skrzynki, skrzyneczki, paczki i paczeczki. Już to we wszystkich tych przyborach kufranych i toaletowych celuje mianowicie pleć piękna. Bo mężczyźni, choćby na koniec świata jechać przyszło, mały kuferczyna i byle jakie nakrycie od nieprzewidzianych zmian pogody wystarczy. Ale kobiety!... Każda z nich zabiera miejsca za nas kilku, i tyle im potrzeba różnych rozmaiłości, że dla nich kilkomilowa nawet podróż, jest tylko pakowaniem się i rozpakowywaniem.

(\*) Nie znamy rękopisu w mowie będącego, nie możemy więc dawać o nim zdania; wnosząc jednak z tytułu, mniemamy że nie należy sobie przesadzać jego ważności. Nie pojmujemy także w pracy czysto słownikarskiej, zasięgania opinii takich uczonych jak Lelewel, Bielowski, Liebelt i t. p.

(Przyp. autora.)

(Przyp. redak.)

To nam przypomina fakt, który chociaż blahy sam przez się, zasługuje jednak na wzmiankę, jako nie będący pod pewnym względem bez znaczenia.

W jednym z magazynów mód tutejszych pani jakaś obstałowała suknię gazową. Magazynierka zażądała od niej na tę suknię 100 łokci gazy. Gaza jest bardzo wązka, ale sto łokci!

Przypuszczając (bo wszystko na tym świecie da się przypuścić), że magazynierka 5tą część, to jest dwadzieścia łokci, weźmie dla siebie, to jeszcze zostanie 80 łokci, stanowiących rzeczywiście bardzo wspaniałą liczbę.

I jakkolwiek korespondent czy korespondentka z Kijowa do Gazety Polskiej zakazuje mi odwoływania się do prababek naszych, wybaczy jednak iż w tym razie powiem, że chociaż nie objawiały one ochoty chodzenia na uniwersytet, to w zamian oszczędniejszej były w rozmiarach sukien.

Otóż byłbym zdania, żeby otworzono dla niektórych dam osobny fakultet matematyki, w którymby jasno jak dzień dowodzono, że kiedy się ma 1; nie można 2 wydawać. Nie mówimy tego do ogółu. Większość już od pewnego czasu nader chwalebne okazuje dążenie: ubiory są daleko skromniejsze, oszczędność zaczyna wchodzić w zwyczaj.

Ale ponieważ wzięliśmy sobie za zasadę karcieć zle choćby wyjątkowe, wytaczamy im sprawę przed sąd publiczny. Wspominamy tu o tych, które wzdychają za kosztownymi ubraniami i uzalają się ze łzami w oczach przed modniarkami, że niedorzeczna moda nie pozwala im wydawać na ubiór tyle ileby chciały. A że istnieją takie, możecie mi wierzyć.

I dlatego to mówię, że ciekawy, jak zwykle sprawozdawca, przepatrywałem w tych dniach strojowe obstalunki letnie. Zaiste, bardzo to zajmujący czasem przegląd, bo świadczy o usposobieniu tych lub owych osób. Można się niemal z tego dowiedzieć.

Wystawcie więc sobie... Otóż masz; chciałem dalej pisać w tej tak zajmującej kwestyi, a przeszkodziła mi nagle jakaś muzyka katarynkowa, która się rozgościła pod moimi oknami i dmie na wydętych organkach jakiegoś walcika czy polkę, że aż w uszach mi szumi.

A przy katarynce słychać jakieś wykrzykiwania, oklaski; znać dużo ludzi musiało się zgromadzić na podwórku. Pisać ani podobna; trzeba zobaczyć co to jest.

Doprawdy, smutny widok!... Kilku pajaców dokazuje tam figle, tańcząc na bruku: kurczą się, wyginają, stają na głowie, przewracają koziołki.

Tum chłopców ulicznych, którzy szturmem wzięli bramę, przypatruje się z ciekawością tym wszystkim łamańcom.

Pajace skończyli. Obchodzą teraz pod oknami, nadstawiając czapki. Jakież to maleństwo! Jeden chłopak pięcioletni, drugi siedmioletni, trzeci dziesięcioletni. Ktoś rzucił dziesiątkę. Pajacyk dziękuje czysto po polsku. Więc to są Polacy!

Dawniej Niemcy i Włosi mieli u nas wyłącznie ten smutny przywilej; a teraz dzieciaki polskie pozazdrościły im sposobu do życia.

I co gorsza, dowiaduję się że chodzi tu po domach kilka takich ulicznych towarzystw, a wszystkie wyłącznie z Polaków złożone.

Z okien sypią się jak grad dziesiątki i półzłotki, pewnie dla zachęty dzieci, żeby w tém szlachetnym wytrwały posłannictwie.

Nigdy prawdziwie ubogi nie zebrał tyle. Widać katarynkarze i pajace muszą mieć szczególne prawo do otrzymania wsparcia.

Ciekawość mnie wzięła dowiedzieć się, zkąd i jakim sposobem zagaścił się u nas ten nowy rodzaj przemysłu ulicznego.

I przekonałem się że istnieje tu parę cudzoziemskich towarzystw, które przyswajają sobie młodych ubogich chłopców, czyli po prostu kupują ich od rodziców, i po kilkunastu lekcjach łamania członków i przekrzywania ciała, lekcjach hojnie popartych uderzeniami batoga, których nauczyciele nie szczędzą, puszczają ich na ulice miasta dla zarobku.

I cały zysk ten, te kilka złotych krwawo zarobionych, idą na korzyść entreprenera, którego delegatem upelnomocnionym jest grający na katarynce. Trzyma on zarazem nadzór nad całą trupą i kieruje jej krokami. Dzieciaki z tych pieniędzy ani grosza nie zobaczą; całém ich wynagrodzeniem jest nędzna strawa i podwojona liczba plag, jeżeli bilans dzienny nie dopisze.

I jakaż przyszłość tych biędaków, jeżeli gdzie przedwcześnie karku nie skręca?

Nie dziwimy się entreprenom cudzoziemcom, bo to taki ich obyczaj, i zresztą co ich to obchodzi, jeżeli dzieci polskie połamią ręce albo nogi na swoim wła-

sny bruku? Nie dziwnym się nawet rodzicom, pozabawionym uczucia które nawet każde zwierzę zachowuje; bo niestety, brak oświecenia w najniższych warstwach miejskich, na który, wyłącznie prawie zajęte teraz kształceniem ludności wiejskiej, zbyt mało zwracamy uwagi, ten zupełny brak wszelkich początków nawet wykształcenia umysłowego, przyzwyczail nas do owego niepojętego zobojętnienia, jakie najdotkliwiej w stosunkach rodzinnych czuć się daje. Są matki, które dzieci póty uważają za swoje, póki je karmią jeszcze; a nawet już i wówczas wzdychają do chwili, kiedy będą się mogły od tego bezużytecznego ciężaru uwolnić. Są ojcowie, dla których dziecko jest utrudnieniem i plagą, co wypędzają je z domu, każąc mu żebrać, albo żywić się wszelkim dozwolonym czy zakazanym przemysłem ulicznym. Są dzieci, które nie znają prawie rodziców, dla których wyżebrany albo skradziony kład łachman jest ubraniem, błoto uliczne pościelą, a kość albo kawałek chleba znalezionej pościeli, a kość albo kawałek chleba znalezionej kupie śmieci pożywności. I dzieje się tak, dopóki chłopiec nie ośnie trochę w siły i nie nauczy się żyć o własnym przemyśle. Ale jakże to przemysł!

Nieraz spotkanego takiego chłopca, czepiającego się sukien i naprzykrzającego o grosz, pytałem czy ma rodziców.

— Mam, odpowiedział.

— A gdzie są?

— Albo ja wiem. I matka i ojciec wychodzą za zarobkiem i całymi ich dniami, a czasem i po nocach niema w mieszkaniu. A jak tam zajądą, to jeszcze matka powie czasem dobre słowo i da co zjeść; ale jak przyjdzie ojciec, to zaraz wypędza na ulicę, wołając że nie będzie darmo mnie żywił. I nie nie da, i obije jeszcze, bo najczęściej jest pijany.

Nie wierzyłbym, ale przekonywałem się na miejscu, że słowa chłopca były prawdą.

Nie dziwi się więc, powtarzam, ani bezsercowemu przemysłowi, ani zewierzconej nędzy, ale dziwi się tym, którzy zachęcają datkiem takie skarady. Dziecko pięcioletnie! A jeszcze pół biedy na ciepło; ale pajace ci przez całą zeszłą zimę włóczyli się po ulicach, i ten biedny chłopiec, w wieku w którym dzieci dostatkich rodziców zaledwie chodzą się dobrze wyczuły, przybrany w płócienny pajacowski ubiór, z gołą głową, bez żadnego okrycia, na zimnym błocie lub zmarzłych kamieniach, zarabiał na... skrucenie karku. Zaprawdę, dziwić się należy tym, którzy przykaskują podobnemu widowisku, dziwić się tym, którzy je zachęcają. Ci mężczyźni, te kobiety, co katorynkarzowi dowodzącemu owemi dziećmi jakby psiarnią jaką, rzucają groszaki przez okno, nie mają chyba dzieci.

A jednak... miłość rodziców dla dzieci, uczucie najświętsze, najczystsze, najbardziej zbliżające do Boga, tak smutne czasem u nas miewa zastosowania, że w niektórych ustach na bluźnierstwo zakrawa.

Te biedne drobne istoty, ilu często zbrodzeń, ilu brudów bywają niewinną pokrywką.

Wieluż to, trzymając się fałszywej drogi, nie chcą jej zmienić, nie lękają się narażać, lękają się, jak mówią, wystawić na szwank przyszłość swoich dzieci.

Ten lub ów płaszczy się dla nędznego zysku, lub czasem dla nadziei tylko zysku; ale nie zaczepiaj go o to, bo użyje dzieci swoich jako osłony. „Gdyby nie one!”... mówi.

Niewierny oficyalista o przyszłości tylko dzieci swoich myśli. Jeżeli krzywdził człowieka którego chleb jadł, to dla tych biednych niewiniątek, które spadek po nim zabiorą, bo przecież majątku z sobą do grobu nie zabierze. Był oszustem, ale dobrym ojcem. Dobrym ojcem!...

Są ludzie którzy narażają się na wszelkie ostateczności, którzy wbrew przekonaniu swojemu, wbrew przekonaniu innych postępują, gotowi wystawić się na odosobnienie, na pogardę nawet; ale dzieci ich będą miały chleb. Niestety! jakże to chleb!

Czyliż dobre imię, czyliż poważanie jakie otacza człowieka który dopełnił swoich obowiązków, nie stożko więcej zasługuje na przekazanie dzieciom naszym, niżli ten gorzki chleb, obłany łzami żalu i wstydu?

I złodziej złapany na gorącym uczynku, kradł tylko dla dzieci swoich.

O gdyby oni mogli przemówić do was, ci następcy wasi, których imion tak często nadużywacie, możebyście słyszeli zamiast wdzięczności, słowa gorącej prośby o oszczędzenie im tej ciężkiej odpowiedzialności, jaka z was na nich spadnie; możebyście zdrzeli na myśl, że nieraz pamięć wasza, zamiast wdzięcznego uczucia, zgrozę tylko w nich obudzi. Zachowajcie dzieciom swoim dobre imię, pamięć prawości ojców, część u ludzi; o to szczególnie, o to przedewszystkiem starać się wam trzeba. I wieleż to dzieci, wieleż pokoleń w cichości sumienia zlorzeczy pamięci przodków swoich, że zatracili mienie, nie worki tala-

rów ani rubli, które mogą się rozsypać tak prędko, jak się prędko zebrały, ale prawdziwy ów majątek, który stanowi byt moralny człowieka, narodu, społeczeństwa! Odbieracie swym dzieciom to co jest główną dźwignią życia i płacicie im za to lichymi, grozami. Jakże to targ i cóż na nim zyskać można?

Prawdziwe umoralnienie jest tylko tam, gdzie ojcowie rodziny pojmują swe obowiązki nie w materialnym znaczeniu tylko. Postępujcie wedle Boga, sumienia i obowiązku, a choćbyście innych skarbów dzieciom nie przekazali w spadku, błogosławić one będą waszą pamięć.

Ale dość tych moralów, które coś na kazanie zakrawają; trzebaż podobno dostawić wam choć cząsteczkę zwykłego tygodniowego kontyngensu, bobyście znów gotowi narzekać, że i ja nie dopełniam swojego obowiązku. Bo i cóż was obchodzi, że ktoś tam zbacza z prawej drogi, kiedy wy, czytelnicy Tygodnika, wszyscy cnotliwi jesteście. Więc nie umoralnienia, ale rozrywki wam potrzeba. W tym tylko sęk, że o tę rozrywkę trudno na dzisiejsze czasy.

Gdybyż przynajmniej można ją wam sprowadzać z zagranicy, jak to kantor Puławskiego, powtarzający ciągle swoje ogłoszenia, czyni ze służącymi.

Kantor pana Puławskiego jest widać niezachwianym w postanowieniu: *impavidum ferient ruinae*. Wszyscy mu powiadają, wszyscy mu piszą, wszyscy go przestrzegają, że sprowadzanie robotników z zagranicy jest szkodliwe, złe; a on jako odpowiedź w dodatku do robotników, jeszcze i służących sprowadza, żeby z nich była taka sama pociecha co i z tamtych.

A teraz opowiem wam o wyborniej odpowiedzi pewnego służącego, nie sprowadzonego wprawdzie z Niemiec, ale naszego prostego wniejskiego Maćka, który *wyarystokratyzował*, wycierając kąty popańskich przedpokojach.

Służy on u bardzo bogatego hrabiego.

Zwykle się zdarza, że do ludzi bardzo bogatych i utytułowanych, przychodzi wiele takich osób, których odwidzin pragną oni uniknąć.

Otóż do tego pana właśnie o którym mowa, zgłaszał się bardzo często jakiś natręt. Hrabia, znudzony nareszcie temi ciągłymi wizytami, rozkazał raz na zawsze służącemu nie przyjmować tego pana.

W parę tygodni po zakazie natręt zgłasza się nanowo.

— Pana hrabiego niema w domu, odpowiada służący, zasłaniając sobą próg swego pana, jak ongi Ajax Telamoneńczyk zasłaniał flotę Achiwów przed natarciem męznego Hektora.

— A kiedy pan hrabia powróci? pyta się niewzruszony natręt.

— Skoro pan hrabia każe powiedzieć że go niema w domu, to niewiedomo kiedy powróci, odpowiada z zimną krwią służący.

To mi przypomina, że słynd tu niedgdyś w Warszawie z częstego roztargnienia księżę J\*, którego starsi z was pamiętają jeszcze.

Owóż raz mając pilne zajęcie, a nie chcąc się spuszczać na służących, księżę napisał krędą na drzwiach swojego pokoju ciemno malowanych: „księcia dziś niema w domu.”

Ale wśród zajęcia przypomniał sobie o ważnym jakimś interesie i wyszedł.

W parę godzin wraca zamyślony, ze spuszczoną głową, i tak przechodzi wszystkie pokoje, aż do własnego apartamentu.

Tutaj, widząc przed sobą drzwi zamknięte, podnosi głowę i czyta ów napis.

— Aha! księcia dziś niema w domu! mówi do siebie przeczytawszy, i zapominając że sam przed dwiema godzinami nakreślił ten napis i że się u siebie znajduje, wychodzi z domu.

Kiedy już mowa o napisach na drzwiach, muszę tu wspomnieć o pewnym młodym człowieku niebardzo zamożnym, który mieszkając sam, z drzwiami *uniebezpieczonemi* bardzo lichym zamkiem, i lękając się żeby go podczas częstych miejskich wycieczek złodzieje nie okradli, wypisał wielkimi literami na drzwiach:

*Res sacra miser.*

Młody ów człowiek może być pewnym, że wszyscy złodzieje znający łaciński język poszanują jego własność.

Wiadomo że w zachodniej części gubernii witebskiej istnieje ludność łotewska rzymsko-katolicka. Po wyjściu więc ustaw uwalniających z poddaństwa włościan, lud tameczny, nieumiejący po rosyjsku, był przez pokątnych tłumaczy bałamucony. Zapobiegając temu, jeden z tamecznych obywateli, pan Mantejfel, (nie Niemiec) przełożył te ustawy na język łotewski miejscowy, przekład swój posłał ministrowi spraw wewnętrznych, a ten, sprawdzwszy takowy, kazał

go rządowym kosztem wydrukować, z tekstem rosyjskim obok, w drukarni p. Ohryzki, egzemplarze zaś rozdać pomiędzy lud inflancki. Gdyby obywatele Litwy i Żmudzki domyśliłi się wcześniej toż samo u siebie zrobić, zapobiegliby wielu smutnym wydarzonym tam wypadkom. Tenże pan Mantejfel wydał dla ludu łotewski kalendarz na rok bieżący, w którym umieścił znaczną część artykułów przetłumaczonych przez siebie z Kmiotka zeszłorocznego.

A może wolicie usłyszeć o dwóch kolonistach cudzoziemcach, o których nam donosi jeden z naszych korespondentów. Koloniści ci widocznie nie rozumieli po łacinie, bo nie umieli poszanować cudzej własności. Tak jednemu jak i drugiemu niejednokrotnie zdarzało się, że zapóźniwszy się na polach którego sąsiada, uniósł z sobą ztamtąd do domu jaką pamiątkę.

Otóż raz późno w nocy jeden z nich dźwigał parę snopów zboża ze stodoły, a drugi wiązkę siana ze stogu.

Spotkali się na granicy swoich respective gruntów, i spotkawszy się uczynili rekognicyą.

Pokazało się że siano pochodziło ze stogu kolonisty który niósł zboże, a zboże ze stodoły tego który niósł siano.

Rozpoznano wzajemną własność i uczyniono na miejscu zamianę.

Wszystko to odbyło się w przykładowej zgodzie. Koloniści, zadowoleni z siebie, powrócili do domu, a dobre stosunki sąsiedzkie wcale tym przypadkiem na szwank narażone nie zostały.

Wiadomo że ś. p. Michał Konarski zrobił zapis zł. 433.333 gr. 20, które oddał do dyspozycji redakcyi Biblioteki Warszawskiej, na wsparcie uczącej się młodzieży. Gdy obecnie podniesienie tego funduszu już zapewnionem zostało, redakcyja Biblioteki położyła zasady, według których rozdział ma nastąpić, tak dla uczniów szkół niższych, jako i wyższych. Blizsze szczegóły wkrótce będą ogłoszone.

B. M. Wolf zamierza wydawnictwo *Biblioteki naukowej*, która obejmie z każdej gałęzi nauk dzieła znakomitszych uczonych europejskich, uznane za najgruntowniejsze. Będzie to ważną pomocą dla uczącej się młodzieży, tém bardziej że wybór ma być powierzony doświadczonym specjalistom.

Nakładem tegoż wydawcy wyszły niedawno *Spiewy historyczne* J. U Niemcewicza, tudzież *Rys dziejów powszechnych* J. Webera, przełożony przez M. B. Szyszkę, tomów 2. Któż nie zna *Spiewów* historycznych, owę najpopularniejszą historię polską, na której całe dojrzalsze pokolenie dzisiejsze nabrało pierwszych pojęć o dziejach ojczystych? Pan Wolf rzeczywiście wielką położył tém zasługę, że książkę tak peżyteczną upowszechnił w bardzo ładnym i niesłychanie taniem, bo tylko 4 złp. kosztującym wydaniu. *Rys dziejów* Webera, jest umiejętnie napisanym i dobrze spolszczonym podręcznikiem, który dla kształcącej się młodzieży pożądanym będzie nabytkiem.

Wiadomo że księgarze Gebethner i Wolf nabyli od redakcyi Gazety Polskiej prawo wydawnictwa *Nędzników* Wiktora Hugo, których ukazanie się w odcinku téjże Gazety tak wielkie u nas obudziło zajęcie. Wydawcy zamierzają dopełnić tego dzieła przekładem *Ostatnich dni skazanego na śmierć* i *Klaudiusza nędzarza*, dwóch dzieł tegoż autora, które są jakby wstępem do *Nędzników* i nierozdzielną prawie z niemi stanowią całość. Tym sposobem czytelnicy będą mogli śledzić w obrobeniu jednej i téjże samej idei cały przebieg talentu znakomitego francuzkiego poety, od pierwszego wybuchu fantazyi młodzieńczej, aż do odznaczających się artystycznym wyrobieniem plodów dojrzałego wieku.

Jakkolwiek, ograniczając się na czysto miejscowych faktach, nigdy prawie nie daję wam wiadomości z pism zagranicznych czerpanych, dziś jednak nie mogę się oprzeć pokusie i powtórzę wam przewyborne odezwanie się pewnego złodzieja paryzkiego.

Wiadomo że słynny dziś bankier Mirès, obwiniony o nadużycie wiary publicznej i oszustwo, wyrokiem sądu kasacyjnego odesłany został do trybunału kryminalnego w Douai i tam ostatecznie uniewinniony i wypuszczony na wolność.

Owóż złodziej ów (nie Mirès) stawał przed sądem kryminalnym paryzkim, oskarżony o kradzież gwałtowną, z okolicznościami obciążającymi, bo to była już czwarta czy piąta jego kryminalna sprawa.

Badanie i rozprawę nie trwały długo; złoźczyca, przekonany najoczywiściej o popełnienie kradzieży, skazany został na kilkanaście lat więzienia.

Po odczytaniu wyroku sądowego, przydujący za pytał skazanego, czy niema nic do nadmienienia.

— Appelluję do sądu w Douai, odpowiedział tamten z krwią najzimniejszą.

## POMNIK BISKUPA SOŁTYKA W SŁAWKOWIE.

O dwie mile od Olkusza, na drodze do Ojcowa, leży Sławków, schludne i bardzo porządne miasteczko rządowe, niegdyś górami ołowianemi słynące, które do najstarszych w królestwie osad się liczy. Miejsce podania odnosi do epoki założenia Sławkowa do przedchrześcijańskich czasów, a kościół tutaj z pogańskiej jeszcze świątyni przerobionym być mienia. Cóżkolwiek bądź, to niewątpliwe, iż od niepamiętnych czasów należało to miasto do uposażenia biskupów krakowskich; w XV wieku współubięło się dostatkami kopalni i mieszkańców z Olkuszem, zamieszkałymi zaś swojemi pośredniemi między Krakowem a Wrocławiem, na pamiątkę czego w obu tych miastach znajdują się dotąd ulice i bramy Sławkowskiemi zwane. Potem, koleją losu innych miast polskich, upadł i Sławków.

Dziś jedyną pamiątką dawnego jego stanu jest kościół farny, założony w r. 1203, który z powodu późniejszych przekształceń, nie ma na pierwsze wejście wyrazu tak odległej starożytności. W nim to, oprócz innych zabytków, przy jednej ze ścian głównych znajduje się niezbyt dawny, lecz ze wszech względów uwagi godny pomnik, którego wizerunek podajemy. Poświęcony on jest pamięci znanego w dziejach Kajetana Sołtyka, od r. 1759—1788 biskupa krakowskiego. Pomimo że przez zaniedbanie cokolwiek ucierpiał, mógłby i w stołecznych katedrach krajowych godnie zająć miejsce.

Pomnik ten, zbudowany w kształcie ołtarza z różnobarwnego marmuru, pod paludamentem uwieńczonym mitrą książęcą, ma u góry herb Sołtyk, a w środku mieści wizerunek w całej postaci na krześle siedzącego biskupa, z papierem w ręku, bardzo dobrego pędzla. U dołu tego portretu jest z marmuru wyrobiona trumna, mająca na wierzchu mitrę i godła biskupie; u podstawy zaś, na szczupłej z czarnego marmuru przedzielonej na dwoje tablicy, znajduje się następujący napis. Po jednej stronie: *Książę Kajetan Ignacy Sołtyk, książę siewierski, O. O. B. K., co znaczy orderów Orła białego kawaler. Po drugiej stronie: Wielki człowiek, ale nieszczęśliwy, czeka wyroku godnej siebie potomności. Narodzony r. 1716, umarł 1788. Artyści obywatele sławkowscy r. 1789 wykonali.*

W ogóle pomnik ten wytwornie i ze smakiem zrobiony, czyniący zaszczyt obywatelom i artystom sławkowskim, daleko wdzięczniej się przedstawia, niż bogatszy wprawdzie, ale zbyt ozdobny grzeszący grobowiec tegoż biskupa, znajdujący się w kaplicy Św. Krzyża w katedrze krakowskiej.

## DOM MICKIEWICZÓW W NOWOGRODKU.

### I WIEŚ TUHANOWICZE.

MIEJSCE NAJDRÓŻSZYCH MŁODOCIANYCH WSPOMNIENI ADAMA.

W sławnej niegdyś stolicy Mendoga, dziś małej litewskiej powiatowej miścinie, stoi biały murowany dworek, dokoła wysokim obwiedziony parkaniem, a wewnątrz dziedzińca z owocowym ogródkiem, z zamieszkałą przez gospodarzy oficyną i ze starą, poczerzniętą od lat stajenką sąsiadującą.

Ten na zagłębieniu Wałowskiej ulicy ukryty zakątek, a w nim ta skromna miasteczkowych mieszkańców siedziba,—to dawne dziedzictwo rodziny nieśmiertelnego wieszczki naszego, to miejsce gdzie pod skrzydłem macierzyńskiej opieki, upłynęła większa część dzieciństwa i pierwszeń jego młodości.

Historia dworku, jak los i życie całe poety, smutna jest, wśród różnych niepowodzeń falująca i wreszcie kończąca się katastrofą publiczną wyprzedzący.

Ojciec Adama włada najprzód tą siedzibą jako zastawnik, potem przewagą hipotecznego prawa wyparty

z niej przez innych dłużników, wynosi się do domu Gajeczowej na Żydowską ulicę, i w końcu wraca powtórnie do tego dworku, jako jego dziedzic.

Miejscem gdzie zamieszkuje tu rodzina Mickiewiczów, od początku objęcia tej własności aż do końca władania nią, jest stary nieistniejący już dziś drewniany domek; przedstawiony zaś na rycinie, buduje wówczas jeszcze jeden z miasteczkowych aptekarzy, i przytym jako wynagrodzenie za koszt budowy, na pewną liczbę lat w bezpłatną bierze go dzierżawę. W tym kilkoletnim peryodzie ojciec Adama umiera; synowie jego pod opieką matki kształcą się i podrastają; aptekarz kończy samobójstwem; dalej wdowa Mickiewiczowa schodzi także ze świata, i dom nieoczyszczony z zalegających należności, sprzedaje się przez licytację. P. Terajewicz, teść Aleksandra Mickiewi-

giego podanie ludowe o błakaniu się na cmentarzu farnego kościoła, w różnych ludzkich i zwierzęcych postaciach, duszy Mendoga, za karę dwukrotnej odnegacji jego. Kiedy tę w przeslicznych rymach odtworzoną legendę, młody nasz poeta, podówczas uczeń jeszcze 4ej klasy u ks. dominikanów, przedstawił swemu nauczycielowi, jako zadane szkolne ćwiczenie, nie uwierzono aby to była jego robota i mniemano plagiatu wsadzono do karczeru. Przeor ówczesny zakonu, ksiądz Lej, widząc się z ojcem Adama, który także bawił się czasem w pisanie klasycznych wierszydeł, wyrzucił mu gorzko, iż pisząc dla syna ćwiczenia, bałamuci go tylko i przeszkadza chłopcu próbować sił własnych. Rychło wszakże błąd ten naiwnych pedagogów zbito, a triumfujący poeta ujrzał imię swoje wpisane do *złotej księgi*. Obie te poezye zda się zaginęły bez śladu.

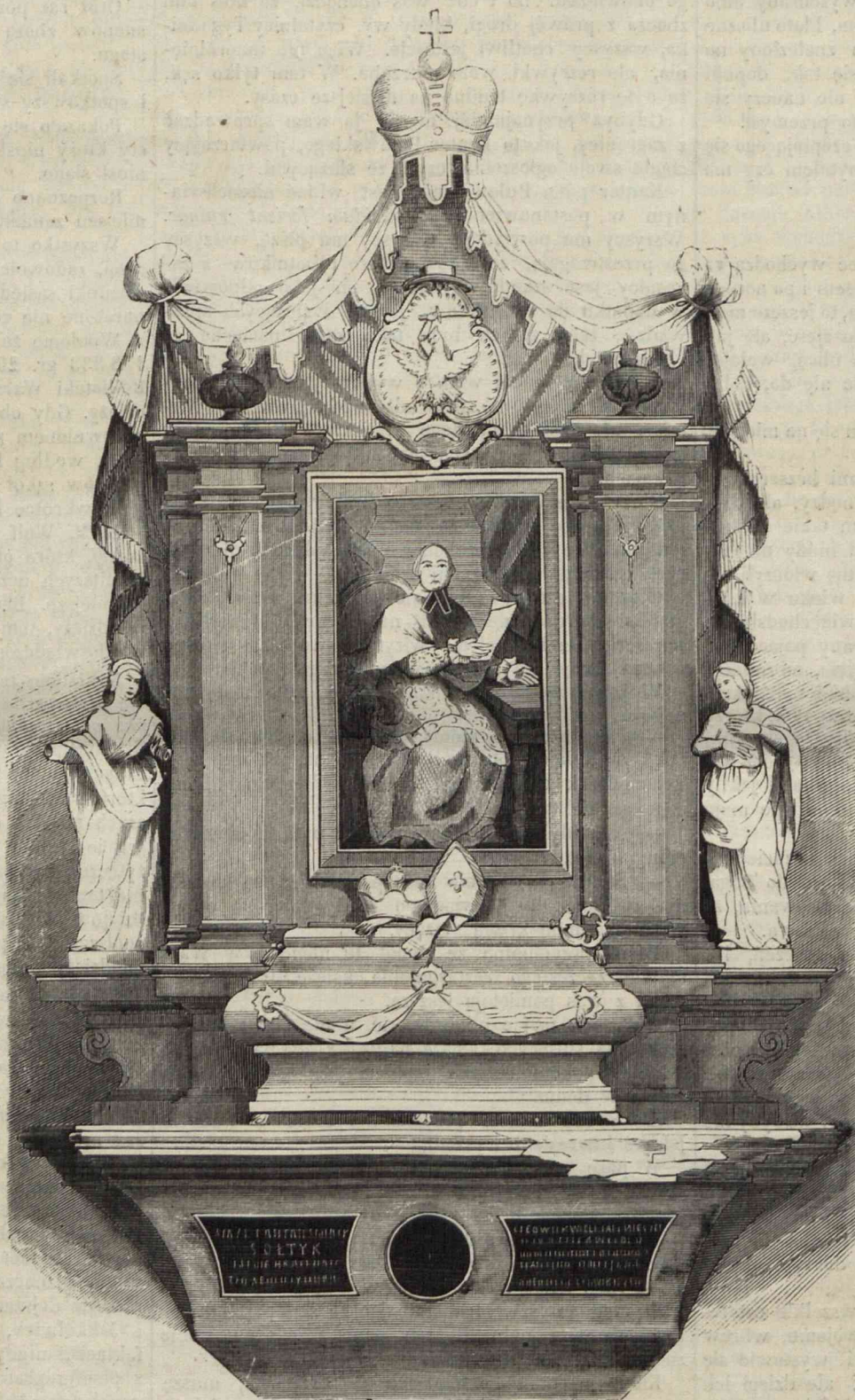
Tyle o nowogrodzkim dworku. Z kolei powiędzmy kilka o *Tuhanowiczach*, wsi należącej przed laty do pp. Wereszczaków, a o 5 mil odległej od Nowogródka, gdzie poeta nasz przepędzał najczęściej szkolne swe i uniwersyteckie wakacje, i kędy potem z nad brzegów Niemna, z kwiecistych smugów czarownej kowieńskiej doliny, orłemskrzydłem natchnienia zwykł był zlatywać po farby do swoich ballad miłosnych, do płomiennych wzorowań szalów i bólów Gustawowych...

Tutaj dość ściśła przyjaźń zaczęła Adama z rodziną pp. Wereszczaków, składającą się wówczas z matki, jedyną jej córki Maryi (dzisiejszej pani hr. Putkamerowej) i dwóch synów: Michała i Józefa; tutaj także słodkie a rzewne swęj boskiej lutni dźwięki w *Dziadach* i pieśniach romantycznych tak namiętnie spoił poeta z *ubeatryczowaną* postacią Maryli.

Dawny dom mieszkalny, przedstawiony w rysunku po prawej stronie, i oficyna, gdzie się zwykle lokował Mickiewicz, zajmująca pierwszy jego plan po lewej; dalej brzoźka zasadzona ręką poety na wzgórzu przy kaplicy dwornej; w końcu sławna lipowa altana, gdzie dziś postawiono na kamiennym piedestale popiersie Adama, a o której mówi Gustaw: „*Altano! szczęścia mego kolebko i grobie!*”—wszystko to dotąd jeszcze zachowuje się w dobrym stanie, pielęgnowane staranną ręką obecnego dóbr dziedzica i żony jego, wnuczki p. Wereszczaków.

Przed niedawnymi czasy syn Adama, Władysław, zwidzając w Nowogrodzkim miejsca rodzinne ojca, był także w Tuhanowiczach i czas tu jakiś spędził wesoło. Znany więc nasz litewski pejzażysta p. Wincenty Dmóchowski, zrobiwszy niedawno ładny akwarelowy widoczek Tuhanowicz, przysłał go tam jako bratni podarek, dla wręczenia młodemu Mickiewiczowi w Genewie. Obecni temu wystaniu, uprosiliśmy p. F. Wereszczakę o skopiowanie widoczku, i radziśmy tę zajmującą narodową pamiątkę conajrychlej z publicznością się podzielić.

Edward Chłopiński.



POMNIK KAJET. SOŁTYKA W KOŚ. FARNYM W SŁAWKOWIE (Rys. na drzewie Głębocki).

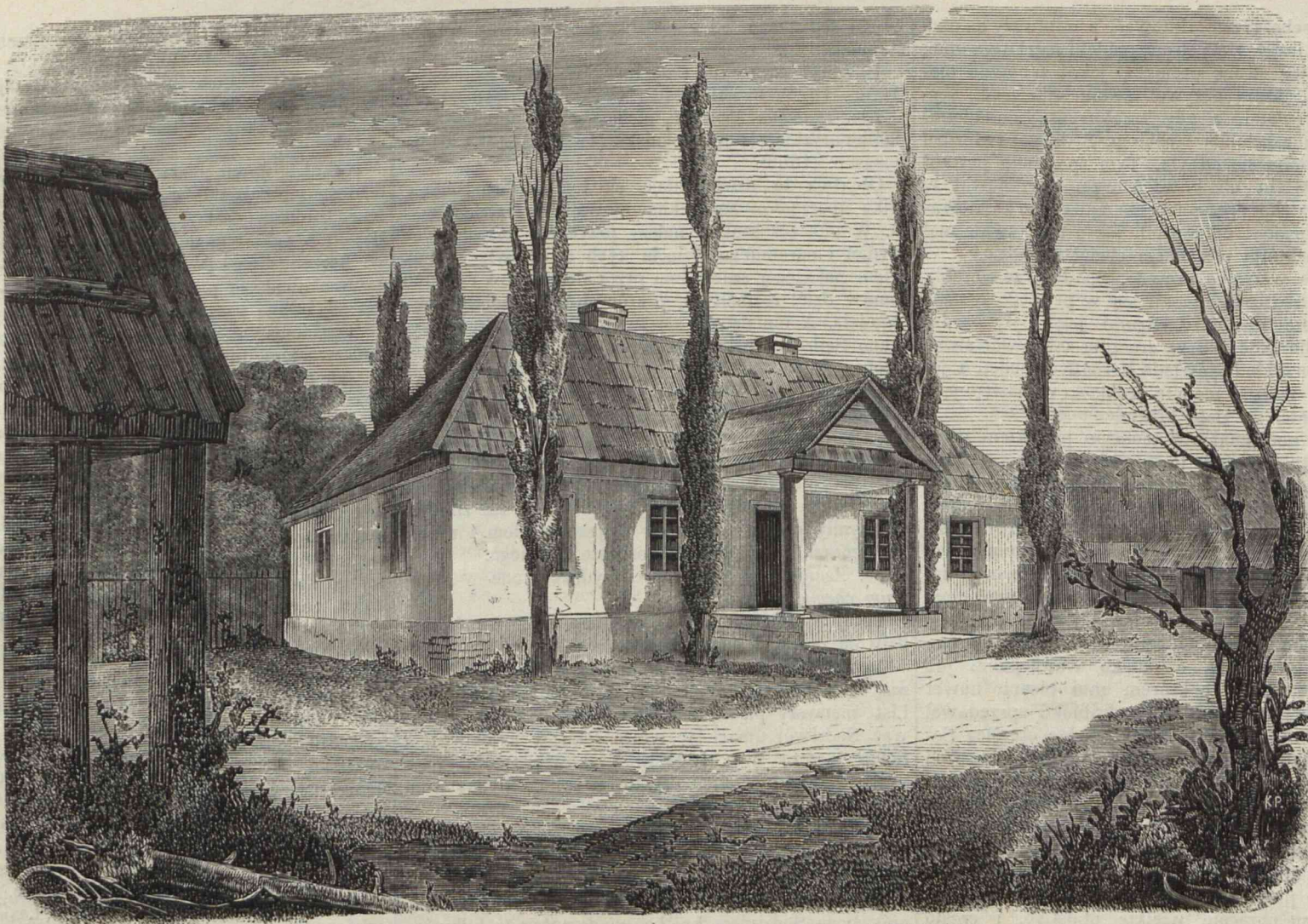
cza, młodszego brata poety, poleca niejakemu panu B\* konkurowanie o wykupno tej utraconej familijnej posiadłości; pan B\* wykupuje ją, ale niech uczciwe polskie serce zgadnie dla kogo? Niestety! wcale nie dla rodziny Mickiewiczów, lecz dla siebie samego. A tak miejsce święte, relikwia narodowa, gdzie Adam pierwsze wrażenia życia odbierał, dokąd w późniejszych latach z uniwersytetu wileńskiego na wakacje do matki zjeżdżał, stało się dziś handlowym kantorem zarobku, wstrętnym arendarskiej spekulacji siedliskiem.

„Pożar“ i „Legenda o Mendogu“; dwie najpierwsze poezye Adama, w dworku tym, za czasów jeszcze szkolnych wyszły z pod jego pióra. Za temat do pierwszego utworu posłużył mu zdarzony w Nowogrodzku pożar jakiegoś drewnianego budynku; do dru-

## Michał Sędziwój.

(Dokończenie.)

„Widząc nareszcie że już bardzo mało pozostało mu proszku, postanowił Sędziwój rozpuścić tę resztę w najstaranniej rektyfikowanym alkoholu, i tą miksturą zaczął leczyć chorych, wzbudzając zawiść lekarzy przez zadziwiające rzeczywiście uzdrowienia jakich dokonywał. W téjże samej to miksturze umoczywszy talara, przemienił go na złoto, a uczynił to w obecności króla Zygmunta III, którego również za pomocą swojego eliksiru uzdrowił z dość ciężkiej choroby. Tym sposobem wypotrzebował Sędziwój cały swój proszek i wszystką miksturę, a wówczas udał się w prośby do marszałka koronnego Wolskiego, twier-



DOM MICKIEWICZÓW W NOWOGRÓDKU. (Rysował na drzewie Fabijański).

dząc że gdyby posiadał na to fundusze, potrafiłby nowy sobie zapas proszku sporządzić.

Jegomość pan Wolski, wielki lubownik alchemii, uwierzył i dał mu tysiąc talarów zaliczenia. Sędziwój wydał tę summę, nie dokazawszy niczego. Wówczas pan marszałek, widząc się stratnym na tysiąc

talarów, wymówił Sędziwojowi że jest oszukańcem i że mógłby, gdyby chciał, kazać go powiesić; jednak mu wybaczył, pod warunkiem iż będzie się starał o sposoby zwrócenia mu pieniędzy. Ale ponieważ człowiek ten posiadał wielki rozgłos uczoneści, został wkrótce wezwany przez Mniszcha wojewodę sando-

mińskiego, ojca Maryny, i otrzymał od niego zaliczenia 800 dukatów. Z tej summy Sędziwój zwrócił połowę należności panu marszałkowi, a resztę użył na bezskuteczne także doświadczenia.

Nareszcie, nie posiadając już nic, Sędziwój wykie rował się na prostego szarlatana. Kazał n. p. złotą



WIEŚ TUHANOWICZE, MIEJSCE MŁODOCIANYCH WSPOMNIEŃ MICKIEWICZA. (Rysował na drzewie Fabijański).

i srebrną blachę razem zlutować, a odbiwszy na nich stempel menniczny, złotą stronę pobilił merkuryuszem; potem też samą stronę pociągnął jakąś zapewne niewinną wodą, którą nazywał swoim eliksyrem, wypalił nad węglami, a gdy merkuryusz się ulotnił i złota strona zajaśniała blaskiem, Sędziwój twierdził że już przemiana się odbyła. Tym sposobem potrafił on oszukać wielu nieuków, którym sprzedawał tę monetę po daleko droższej cenie aniżeli go kosztowała; ale przezorniejsi ani wątpili już o tём, że nie znał tajemnicy, za której posiadacza chciał uchodzić.

Niestety! to wszystko prawda. Spadając ze szczybla na szczybel, Sędziwój zmienił się w prostego oszusta i wydrwiwacza pieniędzy. Sztuki jego były bardzo różnorodne, bo dość jeszcze zręcznie odgrywał swoją rolę. Tak naprzykład opowiada Morhoff, iż jeden z jego przyjaciół widział monetę srebrną, w następujący sposób w części na złoto przemienioną:

„Alchemik pociągnął raz mokrym pęczkiem przez środek monety, posypał to miejsce proszkiem i wypalił nad węglami. Paski mokre do których się przyklepił proszek, (będący zapewne tylko złotym osadem straconym z roztworu złota) pozornie przemieniły się w złoto, a właściwie tylko się pozłociły, gdy przerwy srebrnymi pozostały. Nie wszyscy, dodaje Morhoff, dali się tём oszukać, ale nie chciano demaskować szarlatana, przez wzgląd na dawniejszą jego sławę.

Nareszcie bezimienny biograf Sędziwoja, którego już raz przytoczyliśmy, o daleko ważniejszym już wspomina oszustwie, o którym inni pisarze nawet nie mówią, to jest że Sędziwój podrabiał i sprzedawał fałszywe srebro. Ale biograf ów, będąc obrońcą Sędziwoja, znajduje w tym fakcie właśnie najbardziej uderzający dowód, że i wówczas jeszcze posiadał kamień mędrców. Jeżeli popelniał przestępstwo, mówi on, to tylko aby lepiej ukryć swoją tajemnicę i oddalić od siebie niebezpieczeństwa, na jakie go posiadanie jej narażało ze strony ludzi zawistnych. Lepiej wreszcie przytoczyć własne słowa biografu:

„Udawał on pozornie wielkie ubóstwo, i często kładł się w łóżko, niby cierpiąc na podagrę, albo na inną jaką słabość, której nie umiał wyleczyć. Nawet czasem robił fałszywe srebro i sprzedawał je Żydom polskim. Nareszcie za pomocą różnych podstępów potrafił odwrócić od siebie mniemanie że posiadał kamień mędrców i udać się raczej za oszusta, aniżeli za prawdziwego adepta.

Przebrała się w końcu miarka. Sędziwój musiał uciekać z Polski i opuścić nazawsze Kraków w r. 1617, udając się do swojego majątku Krawarz (Gravarno) pod opiekę austriacką. Tam wkrótce odumarała go żona, a córka wyszła za mąż.

Odbierał on tam jeszcze odwiedziny wielu uczonych i korespondował ze wszystkimi niemal znamienitościami naukowymi, zwłaszcza alchemicznymi, całej Europy. Tu także doszło go poselstwo różokrzyżowców, którzy mu wręczyli papier opatrzony dwunastu pieczęciami. Sława bowiem Sędziwoja była jeszcze tak wielką, że kawalerowie różowego krzyża chcieli go koniecznie zaliczyć do swego bractwa. Sędziwój grzecznie podziękował za ten zaszczyt; różokrzyżowcy jednak w dziełach przez siebie wydanych przyznawali się do niego.

Ostatnie lata starości przepędził Sędziwój w towarzystwie jedynie Jana Bodowskiego, który go przeżył. Umarł w Krawarzu r. P. 1646, mając lat 80. Był to człowiek rzeczywiście ukształcony, uczony nawet, ale wypadek, a może jakaś konieczność fatalistyczna, pchnęły go na niewłaściwą drogę. Świecił długo nie swoim blaskiem, chociaż przyznać mu należy że dość zręcznie korzystał z szczęśliwych okoliczności w jakich go los postawił. Zgubiła go próżność, chęć błyszczenia, żądza zaszczytów, a przedewszystkiem pragnienie uchodzenia za prawdziwego adepta, które go do niepotrzebnych nakłaniało udawań.

Posiadając w rękę skarb nieoceniony, któryby przy najdłuższym życiu mógł mu wystarczyć na zadowolenie nie mówię już potrzeb, ale najwymyślniejszych zachceń nawet, roztrwonił połowę tego skarbu na próżne usiłowania pomnożenia go, a resztę na dogodzenie miłości własnej. Z ostatnią szczyptą proszku kosmopolity, znikła i mniemana wielkość Sędziwoja, a ten który przez pewien czas na równi z monarchami i książętami przestawał, spadając powoli, zszedł na prostego kuglarza i oszusta.

Sędziwój był powierzchowności ujmującej, układnych, światowych obyczajów i bardzo miły w obcowaniu. Wielkie miał szczęście do ludzi, ale miał też podobnie się. Nie był on, jak większa część uczonych, zwłaszcza ówczesnych, zamknięty w sobie i nieprzyjemny w pożyciu, ale mógł iść o lepsze z najrzęczniejszymi dworzanami, pod względem układności i znajomości dworskich obyczajów.

Dzieła jego wydawane pod anagrammami: *Divi*

*Leschi genus amo*, albo: *angelus doce mihi ius*, są następujące:

1mo. *Tractatus de sulphure*, wydanie genewskie (1652—1673), frankfurckie (1678), lipskie (1682).

2do. *Dialogus Mercurii, alchymistae et naturae*, wydanie paryżkie (1608), kolońskie (1612—1614) i strasburskie (1659).

Obydwa te dzieła zdają się być utworu Setona, tylko uporządkowane i komentowane przez Sędziwoja. W tём też szukać należy przyczyny tak licznych wydań i ogromnego wzięcia tych dzieł; były to bowiem najwięcej szacowane przez alchemików z 40,000 tomów dzieł rozmaitych, z których się ich biblioteka składała. A nie dziwić się że dzieła Setona przypisywano Sędziwojowi, przez długi czas bowiem i przez wielu postać Sędziwoja była ściśle i nierozdzielnie łączoną z postacią kosmopolity, a wypadki ich życia mieszane do tego stopnia, że nie można było jednego od drugiego odróżnić. Późniejsi jednak krytycy uczynili to z wielką dokładnością, i rzeczywiście żadnej styczności niema pomiędzy tymi dwoma ludźmi; spotkali się na drodze życia, okoliczności ich zbliżyły i uczyniły jednego dalszym niejako ciągiem i niezaprzeczonem świadectwem geniuszu drugiego.

3o. *Aenigma philosophicum*, wydrukowane w *Theatrum chemicum*, tom IV.

Tutaj podobno najwięcej znajduje się własnej Sędziwoja pracy. I nareszcie:

4o. *Epistolae apocryphae (apographae wtekście) hactenus ineditae*, wydane pod tytułem listów kosmopolity. List pierwszy pisany z Brukseli w r. 1646. Ponieważ Sędziwój umarł w tymże roku w Krawarzu, a Seton jeszcze w r. 1604 w Krakowie, trudno więc przypuścić ażeby jeden czy drugi z nich był autorem tych listów.

Wszystkie pisma Sędziwoja wyszły w Norymberdze, w wydaniu Rothsoltza r. 1748.

Nie od rzeczy zapewne będzie dokompletować ten opis życia Sędziwoja krótką wiadomością o kilku innych alchemikach polskich, albo z Polską styczność mających, o ile nam się zebrać ją udało.

Pierwszym, o którym Schmieder wspomina, był znany ogólnie w świecie uczonym dominikanin Wincenty Koffski, zmarły w Gdańsku w r. 1488. Traktat jego *de prima materia veterum lapidis philosophorum*, podpisany d. 4 października 1478 r. i zamurowany w korytarzu jego klasztoru, znalezione tam został w r. 1560. Tekstowi towarzyszą allegoryczne obrazy i figury, filozoficzne jaje i inne alchemiczne emblematy. Traktat ten doczekał się kilku wydań i przekładów.

Przy końcu XVII wieku słynął w Niemczech alchemik znany pod nazwą syna Sędziwoja (filius Sendigovii). Nie był on jednakże ani synem Sędziwoja, ani żadnym jego krewnym, ani nawet Polakiem. Był to Niemiec, syn profesora z Tubingi Jana Harprechta, tegoż nazwiska co i ojciec.

Znana jest dobrze historia Patkula; ale z tём historii przytoczymy szczegół mało znany, a wyłącznie dotyczący się alchemii.

Patkul, skazany na śmierć, przyrzekł, jeżeli mu karę śmierci na dożywotnie zamienią więzienie, dostarczyć corocznie złota na milion talarów, bez narażenia na żadne koszta ani króla, ani kraju. Obiecywał nawet nauczyć tём sztuki wszystkich których mu król wskaze. Twierdził on że nauczył się sztuki robienia złota od pewnego oficera polskiego nazwiskiem Łubińskiego (Lubiński), który sam wiadomości tём nabył od jakiegoś księdza greckiego z Koryntu.

Ta ofiara została przyjętą. Zaczęto więc operacyę, ze wszelkimi ostrożnościami w podobnych razach używanymi. Król polecił generałowi artylerji Hamiltonowi rozciągnięcie ścisłego nadzoru nad czynnościami alchemisty. Patkul stopił potrzebne do operacyi metale w przytomności Hamiltona; ten je zabrał następnie do siebie i zastąpił innymi, które sam kupił, dla uchronienia się od wszelkiego oszukaństwa. Nazajtr z rana oddano je Patkulowi, który domieszał do nich swojej tynktury i dodał pewną ilość ołowiu.

Na tym sposobem przygotowanej massie Patkul dokonał swojej transmutacyi. Otrzymano z tego bryłę złota, która posłużyła do wybicia stu czterdziestu siedmiu dukatów. Wybito także na pamiątkę medal z tegoż złota, wartości dwóch dukatów, z następującym napisem:

*Hoc aurum arte chimica conflavit Holmiae 1706*  
O. A. V. Paykhull.

Obecnymi byli przy tём transmutacyi, oprócz generała Hamiltona i prawnika Fehmana, który w procesie Patkula pełnił obowiązki prokuratora, kilku innych urzędników i chemik Hiern, który pozostawił szczegółowy opis całej operacyi. Hiern nie wątpił ani na chwilę o prawdziwości tynktury Patkula. Twier-

dził on że gran tём tynktury może przemienić w złoto sześć granów ołowiu. (\*)

Karol XII jednak nie cenil snadź tajemnicy, albo też może domyślał się jakiegoś oszukaństwa, bo jak wiadomo sztuka alchemiczna nie ochroniła Patkula od śmierci.

Patkul zostawił generałowi Hamiltonowi opis swojego sposobu działania. Ciekawe te papiery pozostały w rodzinie generała i potomek tegoż, hrabia Gustaw Hamilton, oddał je do przejrzania sławnemu chemikowi Berzeliusowi. Po dokładnym przejrzaniu, Berzelius zawyrokował, że przemiana ołowiu na złoto nie mogła się odbyć sposobem tam wymienionym.

W ósmnastym wieku przebiegał Niemcy całe tajemniczy adept, niemiejszej sławy i niemiejszej nauki od Setona. Wszystko w nim jest tajemnicą: nazwisko, wychowanie, urodzenie, osoba. Przebiegał Europę pod rozmaitemi nazwiskami i postaciami; jedynym celem jego było jak się zdaje bronić prawdziwości nauk hermetycznych. Rozdawał hojnie swoją tynkturę, sam jednak mało działał. Niepodobna nawet twierdzić z pewnością, ile lat wieku liczył, bo nie znamy ani początku, ani końca jego życia, i w przeciągu całowiekowego blisko istnienia, wszyscy ci którzy go spotykają, opisują go jako człowieka lat średnich, równie od młodości jak i od starości oddalonego.

Nieznamy ten, gdzie go się o papiery pytano, nazywał się Laskarysem archimandrytą klasztoru z wyspy Mityleny, na dowód czego świadectwo patriarchy konstantynopolitańskiego okazywał. Zbierał, jak twierdził, jalmużnę na wykupno niewolników z niewoli tureckiej, chociaż widziano go zawsze rozdającego, a nigdy biorącego. Mówił doskonale kilku językami, najlepiej po grecku. Zdaje się iż papiery swoje musiał on odkupić od prawdziwego Laskarysa za tak wielką sumę, że tamten chętnie zrzekł się składki, przekonany że już nigdy więcej nie zbierze.

Pomiędzy wielu innymi którym Laskarys udzielił swojego proszku, jednym ze znajomszych jest Schmolz von Dierbach, oficer służący w wojsku polskim za Augusta III. Schmolz znajdował się z innymi oficerami w kawiarni w Lesznie (Lissa) i tam rzecz poszła o alchemii i alchemikach. Towarzysze młodego oficera ganili i wysmiewali postępowanie jego ojca, który straciwszy cały majątek na doświadczenia alchemiczne, pozostawił syna bez grosza. Schmolz bronił z żywością pamięci ojca swego i nauk alchemicznych. W liczbie obecnych znajdował się jakiś cudzoziemiec, który przysłuchiwał się z zajęciem sporowi. Kiedy goście rozeszli się z kawiarni, nieznamy ów przybliżył się do oficera i wyraził mu całą przykrość jakiej doświadczył, słysząc to uwłaczanie pamięci jego ojca. Następnie dobył z kieszeni pewną ilość proszku i podarował ją oficerowi, z tym tylko warunkiem, że nie będzie mu wolno robić za pomocą tego proszku więcej złota, jak w ilości trzech dukatów na tydzień, a to w przeciągu siedmiu lat.

Tym nieznamym był Laskarys; łatwo go zresztą poznać po tём hojności. Schmolz jednak, niestworzone rzeczy prawiąc o tym tak prostym wypadku, opuścił zaraz służbę i począł zadziwiać przyjaciół i znajomych odbywanymi w ich przytomności przemianami.

Radzca Dippel w Frankfurcie nad Menem, otrzymawszy od Schmolza trochę tego proszku, zostawił nam szczegółowy jego opis. Podług Dippela proszek Schmolza był koloru czerwonego. Pod mikroskopem okazywał mnóstwo kryształków czerwonych i pomarańczowych. Jeden gran tego proszku, jak twierdzi, zdolny był przemienić na złoto sześćset granów srebra.

Schmolz von Dierbach z wielką rozrzutnością użytkował z daru Laskarysa. Nie obracał on nigdy prawie na własne potrzeby złota pochodzącego z transmutacyi, ale rozdawał je świadkom tych operacyi. Podobnego rodzaju bezinteresowność tём więcej była w nim zadziwiająca, że chociaż młody jeszcze, otoczony żoną, dziećmi i liczną rodziną, i zmuszony utrzymywać dom na stopie przyzwoitej, bardzo mało posiadał na to pieniężnych zasobów. Kiedy nadszedł termin siedmioletni naznaczony przez Laskarysa, a zapas proszku już się wyczerpał, Schmolz zmuszony był udać się o wsparcie do znakomitych osób, które uczestniczyły nieraz w jego przemianach. Ponieważ posiadał ogólny szacunek, zebrano na niego składkę i zapewniono mu wygodne utrzymanie. Ale odkąd się zapas proszku złotodajnego skończył, odtąd i on sam popadł w zapomnienie, z którego go był na chwilę Laskarys wyprowadził. *Wacław Szymanowski.*

(\*) Szczegóły o tём w dziełach: *Güldenfalcks Transmutations Geschichten* S. 28. *Henkels mineralogische, chemische und alchemistische Briefe* t. 1.

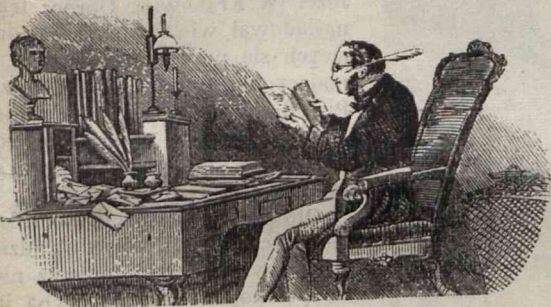
## ZEGNAJ.

Gdy człowiek smutny, z rajy wypędzony,  
Przybity gromem Bożego przekleństwa,  
Na pustą ziemię wychodził stęskniony,  
Musiał przeczuwać swe przyszłe męczeństwa;  
Bo gdy blask rajy zagaśił mu nad głową,  
Gdy rzucił Eden w niezmierną boleści,  
Wtedy czełek żal swój stęścił w jedno słowo,  
W którym się cała męka życia mieści,  
Tém słowem „żegnaj.“ A odtąd na świecie  
Krzewi się ono jako chwast zjadliwy,  
Tai się na dnie w każdym ziemskim kwiecie  
I truje ludziami każdy dzień szczęśliwy.  
W tém słowie leży fatalna potęga,  
Ono rozdziela z ojczyzną, z rodziną,  
I często więzy ludzkich serc rozprzega,  
Co w jego bezdniach topią się i giną!...

Ach, czyż choć jeden człowiek jest na ziemi,  
Który nie zdrzął na dźwięk tego słowa,  
Który go łzami nie zlał gorącemi?  
Ach, czyż na świecie jest choć jedna głowa,  
Którą to słowo cierniem nie otoczy  
I serca mieczem bólu nie przeniknie?  
Przed niem—nadziei gaśnie świt uroczy,  
Szczęście jak ptaszę odlaty i niknie!

W tém słowie niema doczesnej pociechy,  
Ono na serca rzuca kir żaloby,  
Ono jest karą tu za nasze grzechy,  
Ono przez życie wiedzie nas aż w groby,  
I tu się kończy jego moc złowroga;  
Bo za mogiłą w blasku zmartwychwstania,  
W pogodnym niebie, przed obliczem Boga,  
Tam już nie będzie żadnego rozstania,  
Tam kochające dusze znajdują siebie,  
Tam zdroj miłości niezmaconej świeci  
Promiennym blaskiem,—tam w pogodnym niebie  
To słowo „żegnaj“ nigdy nie doleci!...

W. z K. N.



Szanownych czytelników i czytelniczki nasze, tak w Warszawie jak i na prowincyi lub w cesarstwie, upraszamy najuprzejmiej o nadsyłanie redakcyi materiału do kroniki tygodniowej. Materiałem tym mogą być wszelkie fakta odnoszące się do stosunków społecznych i obyczajowych, do literatury, sztuki, przemysłu i t. p. Nie idzie tu wcale o obrobienie stylowe, tylko o doniesienie samego faktu, z zaręczeniem za jego wiarygodność; korzystanie zaś z takich doniesień w sposób właściwy, będzie już wyłącznie rzeczą redakcyi.

*Pani K. B. w Machlinie.* Panotyp i życiorys odebraliśmy, i chętnie zrobilibyśmy z nich użytek, gdyby ktoś z waszych specjalistów podjął się chciał napisania lepszej biografii. Ta którąśmy otrzymali, nie odpowiada ani naukowym, ani literackim wymaganiom. Pragnęlibyśmy mniej suchych dat, a więcej rysów stawiających w właściwym świetle męża nauki i czynu.

*Andrzejowi Mazurowi.* Opis o którym mowa zamieściliśmy w dobrej wierze. Fakt rzeczywiście był pocieszającym, więc ogłosiliśmy go skwapliwie, nie wątpiąc o jego prawdziwości. Dziś odwoływać go ani prostować nie możemy, bo wymieniliśmy nazwiska. Zresztą pewniejszym niezawodnie środkiem skierowania kogoś na drogę poprawy, jest wstawianie dobrego, niż bezwzględne potępienie. Pierwsze dość często uczucia i podnoszą; drugie zepchnąć może w przepaść człowieka niezupełnie jeszcze straconego. Za wyrazy życzliwości serdecznie dziękujemy i prosimy o poparcie ich czynem. Pisarza tak zdrowo rzeczy sądzącego i z takim darem słowa, radziliśmy zaliczyć do swoich współpracowników, a nie zabraknie mu pewno przedmiotu do równie ważnych i dobrze napisanych artykułów, jak „Wrogowie Tellusa.“

*Pani Z. S. w Demkowcach.* Wezwania o nadesłanie Nr. 87 Tygodnika poprzednio nie odebraliśmy; zostałoby bowiem od razu załatwionem, jak wiele innych zażaleń tego rodzaju, chociaż wina takowych nigdy na redakcyi nie ciąży. Nra 87 i 131 jednocześnie odsyłamy.

## WYSTAWA OBRAZÓW

TOWARZYSTWA SZTUK PIĘKNYCH W KRAKOWIE.

Zanim zamknięcie wystawy i ostateczne losowanie obrazów nastąpi, chciałbym z wami podzielić się wrażeniem jakie zrobiły na mnie niektóre plody pędzla naszych artystów.

Ogół wystawionych dzieł sztuki wynosi 146 nu-

merów. Liczba wcale nie wielka; lubo z drugiej strony z zagranicy, to jest z Niemiec, Belgii i Francji, mniej nadesłano obrazów i mniejszej wartości, niż innych lat. W tym stosunku figurują polscy artyści w trzech czwartych częściach, co wcale nie ma, zwłaszcza że ze Lwowa jeden tylko malarz dał dwa swoje obrazki, i to wcale mierne. Są niektóre uzurpowane sławy, zwłaszcza sławy przywiązane do pewnej miejscowości, co jak święconej wodą boją się sądu publicznego, i tacy to zazwyczaj gardlują przeciw wystawom z tym samym zapalem, z jakim furmani powstają na koleje żelazne. Zrobiwszy sobie monopol między dobrodusznymi wierzącymi w ich talent, lekają się współzawodnictwa, a nadewszystko głośnego zdania, któreby ich niezawodnie o szwank przypawiło. Pojmują prawdziwą wielkość obrażoną przez koteryjną krytykę; rozumieją Ary-Scheffera, niedającego tworów swych na wystawę, tak samo jak rzewny, mistyczny poeta zaniczy nie czytał poezji swojej w gwarliwym i różnorodnym tłumie, tylkoby szukał małego kółka z odpowiedniem usposobieniem. U nas niema jeszcze takich wielkości, a zatem niema i obawy aby nie zostały nieopiętami. Z czasem jednak od posyłania swych obrazów na wystawy nie będą się mogli malarze uwolnić, z tej prostej przyczyny, że podobnie jak się to dzieje zagranicą, nie znajdują amatorów na swoje dzieła, jeżeli nie były wystawione. Wtenczas to zapewne nastanie i większa surowość w przyjmowaniu obrazów; dziś bowiem panuje, przynajmniej tu w Krakowie, niemałe pod tym względem pobłażanie, które jednakże zmniejsza się z każdym rokiem. W rzeczy samej, przebiegając myślą cały zbiór wystawionych malowideł, ledwie natrafiłem na trzy lub cztery kawalki niezasługujące na to odznaczenie; bo niechby sobie kto i lekceważył wystawę, ale niemniej dlatego powinna ona mieć cechę jakiegoś odznaczenia, tak samo jak wystawa agronomiczna i gospodarska, gdzie przecież nikt ani kalék, ani chorowitych egzemplarzy nie posyła.

Zgon królowej Barbary Simmlera, o ile podniósł tegoroczną wystawę krakowską, o tyle zaszkodził kolegom, bo cały interes publiczności skupiał koło siebie; wszystkie inne bez wyjątku obok niego zmalowały i zbladły. Nieraz zdarzało mi się widzieć osoby siedzące po całych godzinach przed Barbarą i dumające nad nią, zupełnie jakby w wyobraźni czytały jakiś długi romans. Osobliwa rzecz, że widok szczerzego trupa w nikim nie budził wstrętu, owszem przywiązywał i nieledwo te łzy wyciskał, jakimi mógł plakać Zygmunt August, którego pomawiano nawet o niedostateczną rozpacz. Lecz artysta, widocznie trzymając się historii, pokazał króla przygotowanego do zniesienia tego ciosu, a wzięt tylko chwilę kiedy ten, wpatrując się w ukochane rysy, przebiega myślą koleje przeżytego szczęścia, a porównując je z obecną rzeczywistością, zdaje się mówić w gorczy: Ach! więc wszystko minęło! chociaż serce skrwawione wzbrania się w tę rzeczywistość uwierzyć. Znawcy, biorący rzecz ze strony kompozycyi artystycznej i techniki, unoszą się nad układem figur, harmonią kolorytu odpowiedniego przedmiotowi i nad wykończeniem każdego szczegółu w sposób osiągnący najwyższe złudzenie; gdyż, jak mówiono, ktoś w zapomnieniu chciał ruszyć książkę leżącą na fotelu co stoi przy łóżu królowej...

Widzieliśmy tu litografią z tego obrazu, jaką warszawskie Towarzystwo sztuk pięknych przeznaczyło na premium dla swoich akcyonaryuszów; ale pomimo że nieczyli robi efekt na pierwszy rzut oka, po bliższem rozpatrzeniu się nie oddaje delikatnych odcieni, stanowiących cały urok Barbary; część ta najciekawsza wydaje się pomiętą i zgnatwaną. Mniemam że tylko bardzo biegły i miękki rylec byłby w stanie dać przypomnienie oryginału. Litografia, ten handlowy środek reprodukcji dzieł sztuki, nigdy nie potrafi zastąpić rytmu, chociaż się o to kusząco wszelkimi sposobami. Podobny przypadek zaszedł i z premium krakowskiem na ten rok wyznaczonem, to jest ze śmiercią Czarnieckiego, podług obrazu Leopolda Loefflera. Pod okiem samego artysty wykonał ją najlepszy wiedeński rysownik Kaiser, a jednakowoż patrząc na nią z najlepszą intencją, nie możnaby powziąć wyobrażenia o zaletach jakie ma sam oryginał.

Ilekróć dzieło sztuki, czy to pisane, malowane, rzeźbione lub muzyczne, wywoła entuzjazm, można być pewnym że zaraz znajdzie naśladowców, jednych wyżej uzdolnionych i rozumnych, co wezmą tylko temat, drugich niewolniczo-miernych, co się rzuca do przedzierznięcia przymiotów i sposobów mistrza. Do pierwszych należy p. Matejko, bardzo zdolny malarz tutejszy, który pod sam koniec wystawy dał obraz przedstawiający *Jana Kochanowskiego płaczącego nad ciałem Urszulki*. Drugich jeszcze niema, ale niezawodnie będą, i zasypią nas okropnymi scenami śmierci. Piszę

to z obawy, aby na porządku dziennym naszych malarzy nie znalazł się trup w różnych momentach swego rozkładu, co by zmieniło wystawę obrazów na zupełnie amfiteatr kliniczny. Nie bowiem niema zaradliwszego w sztuce, jak powodzenie. Bądź co bądź, obraz p. Matejki nie jest bez wysokich zalet oryginalnych, choć tak blisko ociera się o przedmiot traktowany przez p. Simmlera. Na pierwszym planie widać śliczną dziecięcą złożoną w trumience, którą schylony nad nią ojciec (Kochanowski) obejmuje w ramiona. Piękna, silna, męzka twarz wyraża boleść tém mocniej przejmującą, im mniej przypuszczasz, aby ta brązowa postać zdolną była do łez rozczulenia. Lutnia złożona na trumience pozwala domyślać się, że to córka poety, którą on w Trenach unieśmiertelnił. Przy trumience ołtarzyk z Najświętszą Panną i palącą się lampa. Zdaje się że odbłask tego światła niekorzystnie wpłynął na koloryt białych draperij, niewyrażających jednak tego odbłasku. Pomimo licznych usterków w akcesoryach, dwie te głowy, ojca i córki, można policzyć do szczęśliwie pomyslaných i wykonanych w całym znaczeniu po mistrzowsku. Dyrekcyja Tow. sztuk pięknych, jak słyszeliśmy, ofiarowała artyście za ten obraz 6,000 złp., co zdaniem znawców bardzo hojnie jest zapłacone; miała nawet zamiar kazać robić podług niego rycinę na premium; lecz p. Matejko położył warunek, na który dyrekcyja przystać nie mogła bez ubliżenia akcyonaryuszom. Warunek był taki, żeby obraz jego nie poszedł do losowania, bo nużyby się dostał w jakie niepoświęcone ręce! Tymczasem dyrekcyja, dysponując pieniędzmi akcyonaryuszów, nie może od funduszu przeznaczonego na zakup obrazów do losowania, odrywać summy 6,000 złotych i niczego natomiast nie dać. Co zaś do argumentu o dostaniu się w niepoświęcone ręce, przekonano się z praktyki, że ubodzy ludzie lub nieznawcy, wygrawszy jakiś obraz, mają zwyczaj zaraz sprzedawać go amatorom za tańszą cenę. Podobnej kolei doznało kilka kosztownych i pięknych obrazów p. Loefflera, a przecież artysta ten, mający wcale głośne imię w kraju i zagranicą, nie protestował przeciw temu.

Zresztą czyż nie może się zdarzyć, że pod ubogą strzechą trafi się amator, co taką czcią i miłością otoczyłby dzieło sztuki, jakiejby nie znalazło w pańskim pałacu, gdzie pierwsze miejsce zajął jakiś stary mistrz włoski, lub Delaroché i Ary-Scheffler? Zawsze to są niebezpieczni współzawodnicy, z którymi trudno wytrzymać porównanie, choćbyśmy o sobie jaknajlepiej trzymali.

W drugim swoim obrazie przedstawił pan Matejko tę scenę, kiedy Jan Kazimierz, uchodzący z Polski, zatrzymał się na Bielanach u kamedułów, i ztamtąd patrzy na pałacy się Kraków. Żeby i najgorszy król, to jeszcze nie mógłby suchym okiem spoglądać na starożytną stolicę swego królestwa, a cóż dopiero Jan Kazimierz, o którym kroniki podają, że płakał na ten widok. Obraz jednak nie wyraża tego. Król, odwrócony od łuny pożaru, przybrał jakąś zimno-dyplomatyczną postawę, kiedy osoby należące do jego orszaku zdają się być daleko mocniej wzruszone; bo nawet ów szkarlatny dygnitarz czy dworzanin, odchodzący ze skrzypką pod pachą, ociera łzy rękawem. Można to przyznać p. Matejce, że maluje dzielnie, charakterystycznie, ale zawsze kompozycyom jego brak świętego ognia natchnienia. Każda figura, wzięta osobno, ma wartość umiejętnych studyów z natury; wmięszana do akcyi z innymi, interesuje tylko znawcę. Dlatego też jego obrazy porównał ktoś do pak, w których się duszą pozamykani ludzie, taka tam ciasnota, taki brak perspektywy. Znakomity ten talent powinienn być głównie ku temu skierować teraz swoje studia; ażeby nabył sposobu otaczania ludzi atmosferą powietrza, jeżeli ten przymiot jest do nabycia.

O historycznych obrazach innych malarzy niewiele da się powiedzieć. Pana Sypniewskiego *Jagiello pod Grunwaldem* w znanej scenie z konturem krzyżackim, wygląda jakby skamieniały. Jest to bitwa, ale niema w niej dosyć ruchu. Malarz ten potrzebuje odbyć studia na seryo, ażeby się mógł wziąć z powodzeniem do tak ogromnych przedmiotów. Wiele na przyszłość rokują utwory p. Pillatego. *Podjazd Lisowszczyków* podobał się powszechnie. Jest pewna dziarskość rycerska i w ludziach i w koniach, jest zamię owego wieku; jednakowoż znać w jego obrazie więcej wprawy w rzeźne malowanie, w pewną przejętą od kogoś manierę, niż samodzielny nabytek. Rodzajowy obrazek *Galganiarki*, wcale zajmujący pomysłem i wykonaniem, wygląda przecież jak przypomnienie jakiej ryciny. Może artysta ułatwia sobie trud komponowania, zapatrując się na dobre ryciny i litografie; lecz taka pomoc nie wystarczy na długo. Tylko to, co się nabędzie i zdobędzie samemu przez robienie z natury, tylko to przechodzi na nienaruszal-

nią własność. Pan Suchodolski Januariusz przysłał *Prezent królewski*, niewielki obrazek, wymalowany podług tych wierszy W. Pola w *Mohorcie*:

A wtém nadjechał królewski koniariusz,  
Prowadząc konia. Koń był wielki i  
Oczy jak gwiazdy, jako piekło  
Szyja jak labędź, a piersi jak  
Rzęd staropolski aż kapał od złota,  
Choć przysłoniłony tureckimi kapy.

Malarz oddał dokładnie tę scenę, wyjąwszy ostatniego wiersza; bo żeby był kapał przysłonił rząd staropolski, to nie mógłby pokazać kapiącego złota... Tak Mohort, jak otaczający go orszak na koniach i bez koni, bardzo trafnie jest ukostiumowany. Jaskrawość farb ożywia ten obrazek.

Młody tutejszy artysta Eliaz Walery, próbuje sił na historycznych przedmiotach. Dał on *Władysława Łokietka* w znaną scenę z Floryanem Szarym ciężko rannym, i drugi obraz *Męczeństwo św. Wojciecha*, zabitego przez Prusaków. Śpiewy historyczne, a raczej ryciny do śpiewów, nie są bez wpływu na te kompozycje, przynajmniej z tego względu, że podają gotowy przedmiot. Z tém wszystkiém młody ten malarz, pracując ciągle, postępuje i w technice i w rysunku. Był się dostał do dobrej szkoły, niezawodnie zdobył sobie imię.

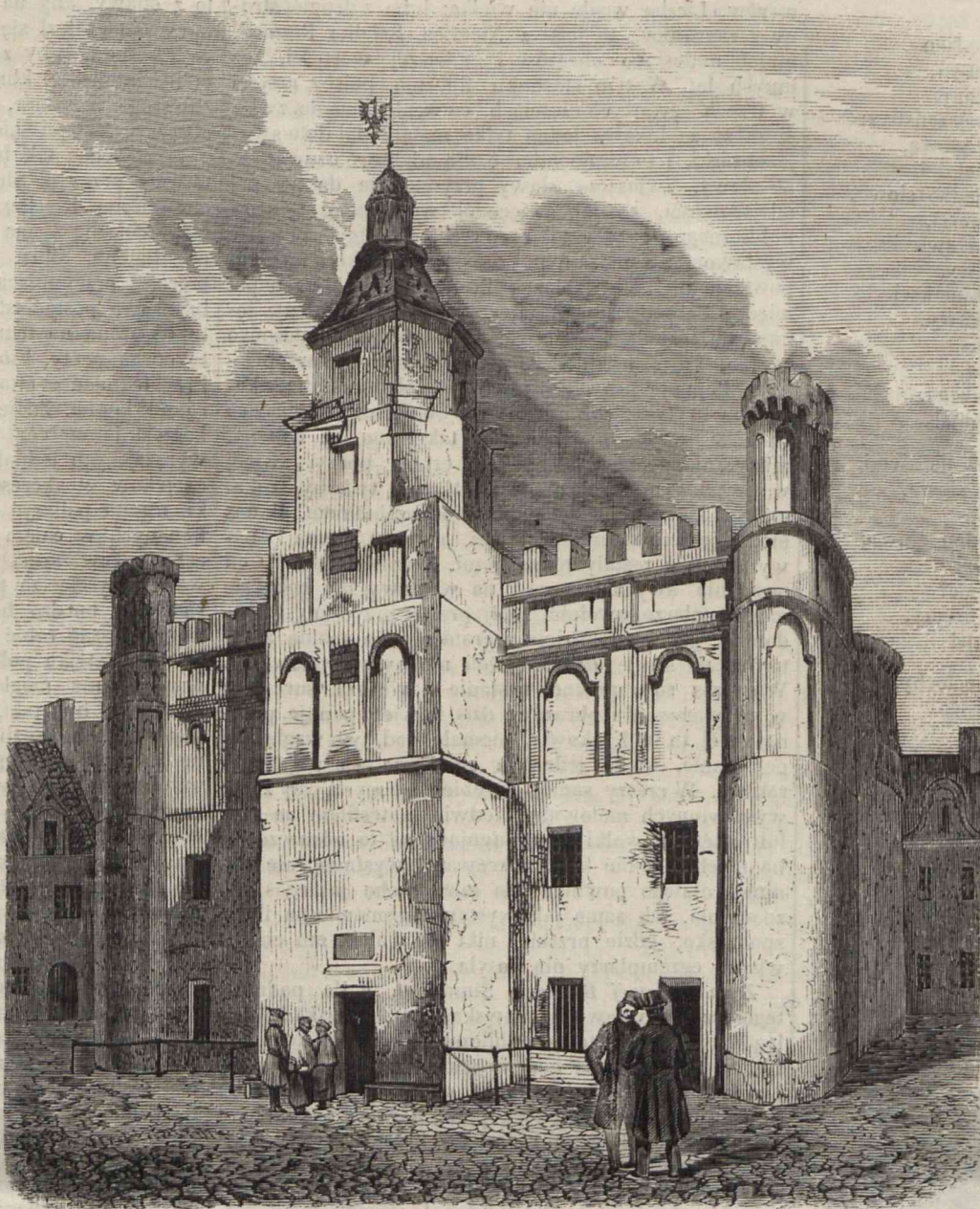
Loeffler w tym roku nie nie dał na wystawę z prac bliżej nas obchodzących, wyjąwszy portret deputowanego *Smolki*, odznaczający się osobliwem podobieństwem i bardzo starannie wypracowany, lubo w ogóle dość zimny. Dwa małe rodzajowe obrazki przedstawiają sceny niemieckie, w których wiele humoru.

Tępa po powrocie z Paryża przestał malować Arabów i Greków, a natomiast wziął się do naszych poczciwych Rusinów z obwodu żółkiewskiego, i sypnął szereg akwarelli, któreby amatorowie rozerwali, gdyby nie były już własnością hr. Włodzimierza Dzieduszyckiego. Tylko *Polowanie na dziką*, dość duża akwarella, była do sprzedania, i tę zakupiła dyrekcyja na losowanie. Olejny portret *Lelewela* pędzła Tępy, wysoką ma wartość; w tém dużém, zapadłém oku, umiał on schwycić bystrość badacza i namiętną żywość politycznego człowieka, a w tych pomiętych, ascetycznych rysach, życie anachorety; owa nawet koszula i draperyja przypominają jego filozoficzną pogardę dla ozdób powierzchownych. Portret ten, jedyny w swoim rodzaju, bo robiony z natury, o wiele więcej jest historycznym, niż niejednen tak zwany historyczny obraz.

Piotrowski, profesor z Królewca, autor sławnej *Wandy*, dał jeden rodzajowy obraz: *Pacierz przed śniadaniem*. Wieśniaczka, podając dziecku śniadanko, każe mu odmówić pacierz, a przesliczny malec klęczy w łóżeczku i rączki składa.

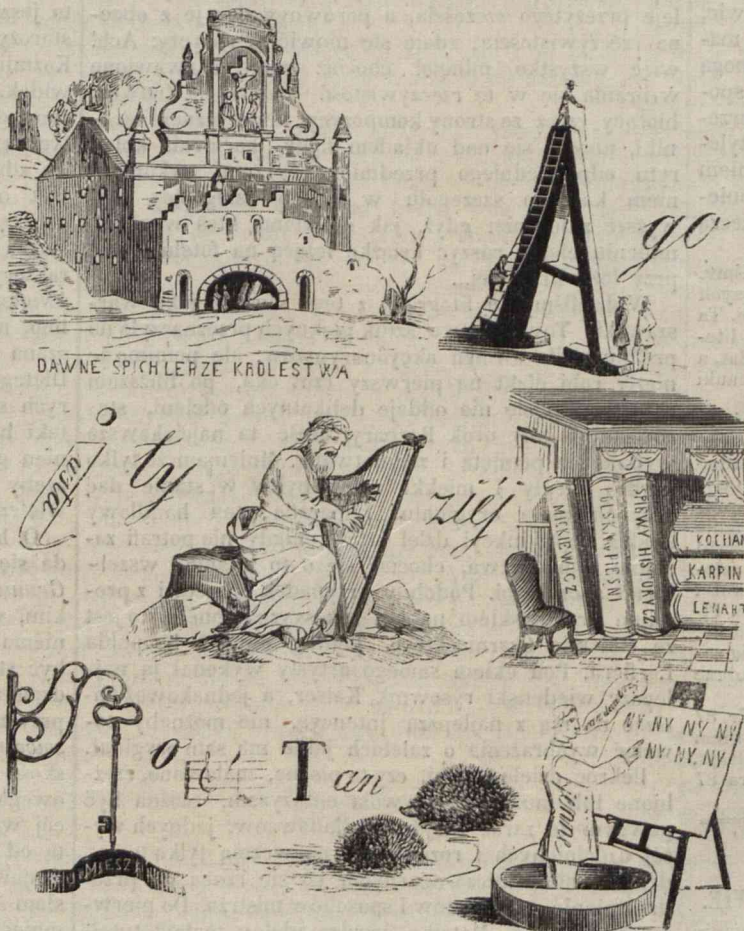
Bardzo zajęło wszystkich *Wnętrze kościoła św. krzyża w Krakowie*, zrobione przez Aleksandra Gryglewskiego. Kościół ten ma to wspólne z ową sławną salą krzyżacką w Malborku, że całe sklepienie opiera się na jednym słupie, co bardzo do malowania wdzięczny daje przedmiot. Malarz z tego skorzystał, i dał szacowny pod względem sumiennego wyrobienia szczegółów i ogólnego efektu obrazek.

Pana Szermentowskiego *Okrężne w Sandomierskiem* i *Pogrzeb ubożego wieśniaka*, dowodzą że w rodzaju pejzażowym bardzo się wydoskonalił. Umie on wybornie charakteryzować naszą północną naturę. Któż nie spotykał takich starych modrzewiowych kościo-



RATUSZ W SZYDŁOWCU. Rysował z natury Fabijański).

## REBUS.



Znaczenie rebusa umieszczonego w Nr. 139.  
Czas dobiega i ostrzega, że gdy sprzyja predko mija.

W drukarni J. Ungra.—Za pozwoleniem Cenzury

ków, jak ten, przed którego wrotami stoi chłopiec z wozem, a w wozie trumienka zbita z czterech desek? Smętnej tej scenie wtóruje posępne niebo....

P. Butkowski Gustaw (z Paryża wymalował również w tonie bardzo posępnym *Chorą na suchoty dziewczynę*, ale tak nieładną, że aż przykro na nią patrzeć. Gdyby nie to, utwór ten znalazłby mnóstwo amatorów, bo jest wykonany z niezwykłą znajomością rzeczy i pokazuje że gdyby malarz mniej podobał sobie w szpetnych i chorowitych rysach, poszukiwanoby jego obrazy. Zaszczytne wspomnienie należy się młodemu malarzowi p. Cynkowi za jego *Piasta*, któremu objawiają się aniołowie. Śpiewy historyczne i tu nie bez korzyści były użyte.

Znalazła się i amatorka, baronówna Stein, mieszkająca niedaleko Krakowa, która dostarczyła wiele portretów. Te co kopiowane są z *Wandyka*, przynoszą jej zaszczyt, oryginalne zaś, mianowicie jakaś tłusta Niemka z pałkami piórami, mają także niejakie zalety, ale nie estetyczne.

Z rzeźb prawie nic niema, tylko odlew gipsowy popiersia Kopernika, wykonanego przez młodego rzeźbiarza p. Wyspiańskiego. Jest także kopia uczy Heroda z Wita Stwosza, podług oryginału znajdującego się w kościele św. Floryana, na Kleparzu. Kopią tę rzeźbił w drzewie p. Brzostowski Józef (w Krakowie). Oprócz tego naśladował wiele główek znajdujących się przy tymże ołtarzu, a mających być dziełem Stwosza. Pan Brzostowski jest bardzo biegłym rzeźbiarzem w drzewie; jednakże nie widzieliśmy dotąd oryginalnych jego prac.

Oto prawie wszyscy, znacniejsi polscy artyści, co wzięli udział w wystawie krakowskiej. Być może iż niejednego jeszcze przepomniałem, ale chyba innym razem zapomnienie to naprawię, tém skwapliwiej, jeżeli który z tych panów popiszę się dziełem zasługującym żeby o niem wiedziano z daleka i z bliska. *Talis—qualis.*

## RATUSZ W SZYDŁOWCU.

Do bardzo zamożnych miast starożytnej Polski należał niegdyś i Szydłowiec, gniazdo znakomitej rodziny Szydłowieckich i przez nich w r. 1427 założony. W dawnych wiekach słynął Szydłowiec ze swego handlu; po kilka niedziel trwały w nim jarmarki, na które kupcy z najodleglejszych zbierali się krajów. Wtedy miasto było ludne i bogato zabudowane, miało wspaniały kościół i pyszny w stylu włoskim zamek, przez Radziwiłłów na początku XVII wieku wzniesiony, a do ostatnich jeszcze czasów zamieszkały. Później atoli, jak wszystkie nasze miasta, trapiiony powietrzem, pustoszony wojną przez Tatarów i Szwedów, klęskami temi, oraz powszechną nieporządkiem i niedbalstwem zarazą, Szydłowiec przyszedł do ubóstwa i ruiny. Wprawdzie troskliwość księżny Sapieżyny, ostatniej prywatnej jego właścicielki, potrafiła w części uleczyć te rany; właściwie jednak dopiero odkąd jest rządowym, powoli dzwigać się zaczął z upadku. Śladem owiej dawniej świetności Szydłowca pozostał jego ratusz, w stylu włoskim wzniesiony, który wiekiem przynajmniej od zamku dawniejszy, stanowi jedną z głównych ozdób miasta. Jest to budowla nadzwyczaj piękna, z krytym dachem i wieżą, a pod względem smaku osobliwa i dobrze dochowana. Ratusz ten, zniszczony przechodami wojska w czasie kampanii za księżstwa warszawskiego, wyrestaurowany został w roku 1829, i dziś mieści w sobie magistrat i okręgowy sąd pokoju.